Nr. 44. Warszawa, dnia 31 (19) Października 1891 r. Rok XI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

DOWODY POKOJU.

„Pokój“ europejski został w roku bieżącym gruntownie odrestaurowany, otrzymał nowe tapety i posmarowanie „Exsiccatorem“ czy „Gudronitem“ w miejscach, w których wystąpiła wilgoć. Zdawałoby się, że w tym odświeżonym i zabezpieczonym pokoju Europa zasiądzie sobie na zimę wolna od wszelkich obaw i zajęta planami pracy. Powinnoby się to uwidocznić najbardziej w obradach parlamentów. Niektóre z nich już się zgromadziły, inne mają się zebrać wkrótce. Wszakże co będzie głównym przedmiotem ich troski — już dziś wiadomo. Więc co?

Ponieważ „widnokrąg polityczny jest zupełnie wypogodzony i pokojowi nic nie grozi,“ zatem Niemcy postanowiły zażądać od sejmu 30 kilku milionów na... wojsko. Nie jest to bynajmniej żart. Sztab główny bowiem uznał, że inne państwa posunęły się w uzbrojeniach, a chociaż może nie wyprzedziły Niemiec, nie pozostają już za niemi w tyle. Nadto podczas manewrów i ćwiczeń zauważono rozmaite braki to w artyleryi, to w kawaleryi, to w marynarce, które trzeba usunąć. Podobno także ujawniła się potrzeba zamiany mundurów zbyt jaskrawych i z daleka widzialnych na szare i zlewające się z barwą pól. W którym kierunku najdalej pójdą żądania ministeryum wojny, dowiemy się dopiero wtedy, kiedy one zostaną przedstawione sejmowi. W każdym razie nie okupi on się byle czem i kilkadziesiąt milionów musi ofiarować z kieszeni wyborców. Prasa niemiecka, która z początku nie dawała wiary pogłoskom, jak gdyby one corocznie od lat wielu nie stawały się prawdą, teraz już tylko wzdycha i prosi losów, ażeby wymagana ofiara nie była zbyt wielka. Co zaś do opozycyi, to jak zwykle ograniczy się ona na postępowcach i socyalno-demokratach, którzy wypowiedzą bardzo piękne mowy, wykażą obecną przewagę militarną Niemiec, złożą do urny głosy zgodne z tymi wywodami i — na wynik uchwał nie wpłyną. Dla nikogo też nie ulega żadnej wątpliwości, że w Berlinie szruba budżetu wojskowego posunie się znowu o kilka skrętów wyżej.

Ponieważ Francya wierzy również w „niezmącony pokój,“ a nadewszystko widzi przekonywające jego rękojmie u sąsiada, więc również przygotowywa się do dopełnienia uzbrojeń. Nie mają one być wielkie, ale będą, gdyż także manewry letnie wskazały potrzebę wzmocnienia pewnych stron siły wojskowej na lądzie i morzu.

Austrya przez całe lato skradała się lękliwie ze swymi projektami podwyżki wydatków na wojsko. Naprzód z oddali bąknęły o tem dzienniki prywatne, czasem odbierające „natchnienia“ od rządu, potem półurzędowe zaczęły przeczyć pogłosce w ten sposób, ażeby w nią uwierzono; nareszcie cała prasa, „natchniona i nienatchniona“ zaśpiewała chórem pieśń na cześć Marsa. Ale i tu jeszcze nie wiadomo, jak głęboko ten bóg zechce zapuścić swą rękę w kieszenie c. k. płatników.

Anglia ma za dużo pieniędzy, a za mało wojska, ażeby mogła kogokolwiek zdziwić pomnożeniem swych sił zbrojnych. Nie potrzebuje ona tego zapowiadać, ani umizgać się do parlamentu: pewnego dnia zażąda od niego funtów sterlingów i dostanie. A zażąda.

Włochy prawdopodobnie będą musiały w tym roku poskromić swoje zachcianki militarne. Natomiast prawie wszystkie państwa drobne: Dania, Belgia, Holandya, Szwajcarya, Serbia — ubezpieczają swe granice. Nawet Bułgarya, według ostatnich doniesień, zaprowadza tajemnie jakieś fortyfikacye, których jej bez pozwolenia mocarstw budować nie wolno.

Oto jest rezultat całego szeregu najuroczystszych zapewnień o nienaruszalności pokoju. Słyszeliśmy je podczas lata powtarzane w rozmaitych miejscach, na rozmaitych stanowiskach, upoważnionemi i nieupoważnionemi ustami. Kto tylko podnosił głos daleko słyszany, kazał ludziom spać spokojnie. Dość przypomnieć sobie słowa Salisburego, który tak stanowczo rozpraszał wszelkie obawy, jak gdyby podpatrzył tajemnice oddalonej przyszłości. Cóż to znaczyło? Poprostu zapewnienia tego rodzaju stały się zwyczajem, nałogiem, rzec można obowiązkiem dyplomacyi. Żaden polityk w nie mocno nie wierzy, ale każdy uważa sobie za obowiązek je powtarzać. Jeżeli zaś po tych wszystkich gałązkach oliwnych zaczęto znowu odlewać armaty, nie dowodzi to, że wystąpiło nagle jakieś nowe niebezpieczeństwo wojny. Bynajmniej, pozostało tylko dawne, dręczące Europę od lat wielu. Wzajemna nieufność w stosunkach międzynarodowych, która w nich zapanowała po wojnie francusko-niemieckiej, pogłębia się z każdym rokiem, a rzucane w tę przepaść słowa nie mogą jej zapełnić. Nie spotęgowały jej żadne nowe zatargi, ale sam czas. Nieuleczona choroba żyje i rozwija się sama z siebie; ażeby ona postępowała, nie potrzeba świeżych przyczyn. Wystarczą te, które ją wywołały.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W braku materyału lepszego, prasa europejska bawi się pretensyami Bismarka, wypowiedzianemi w nowym przyczynku do literatury rozjątrzonego starca p. t. *Annehmen oder ablehnen.* Mówimy: bawi się, gdyż trudno rozprawiać poważnie z tym coraz niedorzeczniejszym „gniewem bez sił,“ który nie przestaje wrzeć w piersi b. kanclerza i czasem sprawia mu naiwne złudzenie jakiegoś skutku. Historya zna już bardzo wiele odmian natury ludzkiej, ale takiego okazu, jaki przedstawia Bismark, jeszcze nie widziała. Nigdy dotychczas nie połączyły się w jednym człowieku tak ściśle i wyraźnie wielkość z małością. Niewątpliwie na polu krętactw politycznych odniósł wyjątkowe zwycięstwa, a cho-

ciaż możemy upośledzać moralną istotę podobnych tryumfów, zawsze trzeba im przyznać wagę. Jednocześnie wszakże w tym, bądź co bądź, olbrzymie tkwi bezprzykładnie małej miary liliput, człowieczek mizerny, dostępny najniższym pożądaniom, samolubny aż do obrzydliwości, obcy najzwyklejszym uczuciom szlachetnym. Usunięty z urzędu, którego trzymał się tak konwulsyjnie, że go odeń oderwać musiano, miota się wymyśla, złorzeczy, zaleca siebie jako jedynego zbawcę, gani wszystkich i wszystko, a zwłaszcza to, co bodaj z oddali szkodzi jego spekulacyom pieniężnym i interesom gospodarskim. Tego rodzaju bohater może nieraz budzić podziw, a zawsze wstręt, bo wszystko w nim jest pospolite, prócz zdolności wyprowadzania w pole przeciwników.

Z powodu rozporządzenia, dopuszczającego wykłady języka polskiego w szkołach pruskich, oraz pogłoski, zapowiadającej mianowanie polaka arcybiskupem gnieźnieńsko-poznańskim, *Warsz. Dniewnik* zamieszcza następujące uwagi: „Niemcy rzucają polakom okruszyny, które ci podejmują skwapliwie. Stablewski, Kościelski i im podobni wychwalają politykę niemiecką i gotowi widzieć w Berlinie środek, około którego winna się skupić Słowiańszczyzna. I rzeczywiście wspaniałomyślność Niemiec uderzająca! *Dziennik poznański* przez całe lata kończył każdy swój numer okrzykiem: „uczmy dzieci po polsku, a teraz *dozwolono* to czynić i uczyć polaków, jeśli tego chcą, języka polskiego. To dobrodziejstwo jest tem większe i ważniejsze, że w tymże *Dzienniku poznańskim*, np. w ostatnim jego numerze z 27 października, czytamy, iż „w wielu miejscach zaczęli uczyć języka polskiego niemcy, którzy sami nim dobrze nie władają“ i że „dzieci robią szybkie postępy w czytaniu,“ ale szkoda, że wszystko ogranicza się do czytania mechanicznego... Według tejże gazety należy zachęcać do uczenia się języka polskiego zarówno rodziców jak dzieci aktami publicznymi, urządzanymi dwa razy na rok. Oto jak silna jest w polakach pruskich chęć uczenia się po polsku, skoro trzeba do tego zachęcać rodziców i dzieci polskie. Podczas gdy to zachodzi w szkole, dla polskiego kościoła katolickiego w Prusach również zrobiono „ustępstwo,“ które naturalnie pociągnie za sobą pomnożenie zwolenników Stablewskiego i Kościelskiego w poglądach na rolę Prus w Słowiańszczyźnie. Zadziwiające ustępstwo!.. Polak będzie mianowany arcybiskupem na stolicy polsko-katolickiej! Polacy z tego się cieszą i będą za to bardzo wdzięczni. Mimowoli przypomina się ich wdzięczność okazana Rosyi za nominacyę polaka biskupem w prowincyi roskiej — Hryniewieckiego w Wilnie.“ Jako dalszą ilustracyę położenia, *Dniewnik* przytacza świeże zakupy ziemi polskiej przez komisyę kolonizacyjną.

BADANIA NAUKOWE.

KAPITALIZM A DZIENNIKARSTWO.

III.

Swoboda prasy zaledwie ze słowa stała się ciałem, a już ukazała całą swoją znikomość. Uległa temu samemu losowi, jaki kapitalizm nowoczesny zgotował wszelkiej swobodzie ekonomicznej. Wolna konkurencya, na której łonie według teoretyków przeszłowiekowych wyzwalającego się mieszczaństwa jednostka winna była znaleźć możliwość najlepszego zastosowania sił swoich i uzdolnień, zadała po upływie stulecia kłam tym oczekiwaniom. Nie mówimy już, czem jest owa okrzyczana wolność dla całych tłumów ludności, stającej do walki o chleb jedynie z siłą mięśni i uzdolnieniami umysłu, kiedy inni występują potężni odziedziczonym przywilejem: kapitałem Ale i wśród garstki uprzywilejowanej współzawodnictwo usuwa zwolna wszystkich, u których rozmiary kapitału nie dosięgają pewnej wysokości, i coraz bardziej oddaje produkcyę i wymianę w ręce możnowładców pieniężnych, tem samem znosząc wolną konkurencyę i zwiastując nową erę — monopolu, opartego nie na dekrecie państwowym, lecz na konieczności posiadania odpowiedniej wielkości środków finansowych, wymaganych dla osiągnięcia dostatecznych zysków w przedsiębiorstwie. To wielkie prawo, rządzące rozwojem kapitalizmu, panuje też i wykazuje wpływy swoje w zakresie dziennikarstwa. Opowiadają o Dmochowskim, należącym do ojców prasy warszawskiej, że był zarazem wydawcą, redaktorem i jedynym niemal pracownikiem w swojem piśmie. W tym okresie rzemieślniczym produkcyi dziennikarskiej przedewszystkiem pytano, kto jest kierownikiem pisma. Redaktor mógł wtedy z dumą powiedzieć: dziennik, to ja! Jak każdy rzemieślnik, przywiązywał się do warsztatu swojej pracy, pismo było nietylko źródłem zarobku, lecz cząstką duszy redaktorskiej, sposobem wywiązania się z ciążących obowiązków społecznych. Przynajmniej taki typ wtedy przeważał. Dzisiaj jest to już miniona epoka dziejowa. Wprawdzie w społeczeństwach mało rozwiniętych, jak nasze, gdzie rzemiosło odgrywa jeszcze olbrzymią rolę w zaspokajaniu potrzeb spożywczych, tacy rzemieślnicy zdarzają się dość często w dziennikarstwie. Lecz i oni przerzedzają się, a jeśli istnieją jeszcze, są gatunkiem wymierającym i ustępującym miejsca innemu, kapitalistycznemu. Większość zamieniła się w istotnych fabrykantów drukowanego słowa, łączących z tem przedsiębiorstwem często inne, np. pobierania renty pokomornej. Za granicą stosunki zaostrzyły się o wiele silniej. Wydawca pisma jest już typową postacią korowodu kapitalistycznego, przedsiębiorcą, który czasem nie ma żadnego pojęcia o zawodzie literackim i któremu wszystko jedno, czy handluje gorzałką, szmatami, dziewczętami lub drukowanem słowem, byleby geszeft szedł dobrze. Posiada on kapitał, chciałby zeń ciągnąć zyski i w tym celu zwrócił się do dziennikarstwa. Tylko pewne względy zarobkowe: niewyprowadzania czytelników z błędu o „idealności“ swego pisma powstrzymują wydawców, aby na szyldzie nie wymazali wyrazu „redakcya“ i nie wypisali: „fabryka.“ Z drugiej strony literaci, niekiedy wraz z redaktorem, są już najczystszej wody najemnikami akordowymi. a jeżeli jeszcze z dumą zaliczają się do współpracowników tego lub innego pisma, jest to duma tego samego rodzaju, co majsterka stolarskiego, pracującego w fabryce jako najemnik, który używa zgoła niewłaściwego miana pana majstra. Patrzą oni na pismo tak samo, jak czyni każdy najmita na przeciwstawione mu w postaci kapitału narzędzia pracy, tj. z zupełną obojętnością. W tym razie naśladują oni pryncypała, któremu znowu wszystko jedno, jakie akcye nabyć, byleby zyskownie.

Wejdźmy do jakiejś z tych fabryk. „Organizacya codziennego organu prasy wymaga wielkiego kapitału zakładowego i obrotowego. Zazwyczaj dziennik należy do jednego albo kilku kapitalistów i przedsiębiorców, składających spółkę... Telefony łączą ten gabinet (redaktora) z ogniskami życia publicznego; każdy dziennik ma swe własne druty telegraficzne, przez które specyalni korespondenci przesyłają mu wiadomości bezustanku. Zgromadza się nawał wiadomości i informacyj. Około 10-ej piszą się artykuły wstępne i jednocześnie zbiega się chmara reporterów, którzy przepisują swoje stenograficzne notatki... Istna kuźnia Wulkana w drukarni i odlewni. Arkusze 8-stronne dziennika są drukowane i składane od 12 do 50 tysięcy na godzinę, a co pięć minut windy znoszą je do ogromnej sali pakunków i ekspedycyi... Redaktor na-

---

Andrzej Niemojewski.

BAJKA MAŁŻEŃSKA

NOWELA.

(Dokończenie).

IX.

Nareszcie sami.

Brzmi w sali muzyka, tłum w pląsach po-
[myka.
Jak śpiewna,jak rzewna melodya walczyka,
Jak damy z panami wirują ochoczo,
Jak wkoło matrony jowialnie chichoczą!

Wtem głuchnie kapela i tłum się rozdziela,
Grzmi toast: „Niech żyją!“ śród burzy we-
[sela,
Tłum zdąża na schody, całuje, w pół chwyta,
Już wsiedli, bicz trzasnął — rwą konie
[z kopyta.

W powozie dwa szepty ozwały się żywo:
„Czy umiesz ty szaleć!..“—„Czy jesteś cier-
[pliwą?..“
A stangret pijany w dół zerka przez ramię
I spluwa: „Niech tego starego połamie!!“

X.

Sen na mirtach.

W noc pachną nad łożem kwiatki,
Baron powieki odmyka,
Cień sunie nieboszczki matki
I szepcze głosem wietrzyka:

— „Za późno, synku, za późno!
Już ci w sercu krew nie zagra,
Tkwią w czuprynie włosy luźno,
Dręczy giehcik i podagra...

Nie wierz oczom, kiedy zdradnie
Błysną z po za rzęs firanek,
Oddaj szpadę, nim z rąk padnie,
Wiek przeminął zalecanek...

Lepiej śnić ci przy kominku,
Wspominając dawne dzieje,
Niż po nowe biedz trofeje
Bez piór w hełmie, drogi synku!“

Tak mówi szeptem wietrzyka
Cień smutny nieboszczki matki,
Nachyla się między kwiatki,
Całuje syna i znika.

XI.

Lunatyczka

Wybiegła z alkowy i czepek rwie z głowy,
Nad gankiem noc parna i cicha,
A ona wzruszona, spłoniona, wzburzona
Przez poręcz się słania i wzdycha.

Księżyca twarz duża zza drzew się wynurza,
Źrenicę czerwoną rozwiera,
Spogląda na ganek, jak pierwszy kochanek
I oko mgły chustką ociera...

XII.

Wilegiatura.

Grają w altanie partyę a vista.
Kobiety płoną, jak róże,
W bluszczach wiaterek majowy śwista.
Grają — a stawki są duże.

Mecenas partyę gra z baronową,
Która jest dzisiaj prześliczną.

czelny, pobierający wielką płacę 5—8 tysięcy funtów szterl., sam nic nie pisze, albo bardzo mało: funkcye jego ograniczają się do dawania ogólnego kierunku. Powracając z klubów, z audyencyj i narad z ministrami, mężami stanu, dyplomatami, zajeżdża on około północy do redakcyi, przyjmuje swój sztab generalny, daje instrukcye." Obraz ten, zaczerpnięty ze stosunków angielskich, najzupełniej przypomina wszelką inną fabrykę. Rozumie się koszty jej prowadzenia są olbrzymie. Owe druty telegraficzne, łączące redakcyę z dalekiemi stolicami, redaktorzy, będący za pan brat z mężami stanu, uczone wyprawy do środka Afryki, dają rozgłos pismu, ściągają mnóstwo prenumeratorów, lesz też kosztują nadzwyczaj słono. Któż zdoła rzucić wyzwanie takiej fabryce nowin? Czyż utalentowany hołysz bez grosza w kieszeni, jedynie dumny i bogaty swojemi uzdolnieniami literackiemi? Gdyby to uczynił, dowiedziałby się niebawem, że wszystkie zdolności pisarskie wraz z wawrzynami literackimi nic nie wskórają przeciwko najglupszemu osłowi, naładowanemu złotem. Kto posiada dostatecznie wielki kapitał, będzie rozporządzał natychmiastową wiadomością z pierwszej ręki o każdem zdarzeniu, znajdzie na swoim żołdzie mnóstwo piór zdolnych, najmie komiwojażerów, którzy rozpowszechnią jego pismo. Nawet gdyby miał wszystkie talenty literackie przeciwko sobie, może śmiało spoglądać w przyszłość, pewny zwycięztwa. I cóż wobec tego ma począć człowiek, któremu przyroda przy urodzeniu dała silną żądzę czynu społecznego i zatliła w duszy ogień apostolski?

Rzuciliśmy powyżej pytanie, dlaczego ludzie przekonań nie rozpędzą owej zgrai frymarczącej i blagującej, w jaką zamienia się z rozwojem orgii kapitalistycznej świat literacki. Otrzymujemy obecnie odpowiedź. Zaczynamy rozumieć, że ciżba reporterska raczej zgniecie i wytępi wszystko, co nie pasuje do jej kramiku i dumnie na nią spogląda. Swoboda prasy, tj. dostęp do drukowanego słowa, w całej rozciągłości, nie istnieje dla hołysza z zasadami. Narzędzie ćwiczenia najlepszych jego chęci zostało przywłaszczone przez kapitał i znalazło się w ręku istoty, pytającej nie o to, co jest z pożytkiem dla dobra powszechnego, lecz co napędzi pieniądze do sakwy. Atoli jeśli jakaś jednostka ulega konieczności i wyrzeka się apostolstwa dziennikarskiego, żadna partya polityczna, pod groźbą zaniku i śmierci, nie może tego zrobić. Dziennik jest dla niej wszystkiem i środki muszą być skądkolwiek wydobyte. Zwykle zostają one zebrane za pośrednictwem akcyj, wypuszczanych pomiędzy członków stronnictwa. Okoliczność ta, dająca możność wypowiedzenia się ludziom przekonań, posiada olbrzymie znaczenie w tegoczesnej ich walce. Gdzie zamiast jednego mamy setkę ludzi, różnice i skłonności czysto osobiste ulegają zatarciu i występuje duch nawskróś klasowy. Redaktor partyjny, jako bajaderka pomiędzy ostrzami mieczów, musi skakać z całą zręcznością akrobaty, żeby nie zadrasnąć klasowych uprzedzeń i interesów akcyonaryuszów. Dziennik przestaje odbijać pomysły osoby pojedynczej, jest głosem ducha partyjnego w wykończonej postaci. Jedynie walka polityczno-klasowa nadaje towarowi gazeciarskiemu jakąś wartość moralną, hołyszom zaś nieprzejednanym zabezpiecza przytułek. Bez niej doszedłby ów towar do ostatecznego upodlenia, tłusty zaś reporter dawno już połknąłby wszystkich chudopachołków idei. Dzienniki partyjno-polityczne nakładają jeszcze niejakie cugle plotkarstwu, a jakkolwiek same niekiedy silną gorliwie wszystkim bóstwom kapitalizmu i za swój obowiązek uważają pisać dla nich hymny i bronić na każdym kroku, ograniczają jednak swoją drogą panowanie przedsiębiorców w dziennikarstwie. Zresztą i one musiały wstąpić na tor właściwy najczystszej wody fabrykom nowin i plotkarstwa. Akcyonaryusze, którzy złożyli się na pismo, bynajmniej nie uczynili tego po to, ażeby nigdy nie mieli oglądać odsetek ze swoich kapitałów. Na redaktorów przypada powinność dopilnowania, żeby powołane do życia przedsiębiorstwo partyjne nie zbankrutowało. Ta sama więc blaga, jak w każdym organie czysto przedsiębiorczym, ta sama pogoń za skandalem wkrada się też do dziennika politycznego. Cała różnica polega na tem, że pismo partyjne wygląda od frontu przyzwoicie i chowa wszelkie śmieci do zaułka.

K. R. Żywicki.

TUBERKULINA.

W tych dniach Koch ogłosił sposób przygotowania oraz chemiczny skład istoty działającej tuberkuliny, która przed rokiem narobiła wiejskiej wrzawy w świecie Raz jeszcze dowiedzioną została słuszność twierdzenia, że ludzie dlatego wynoszą kogoś w górę, ażeby go tem niżej potem zepchnąć. Koch, podniesiony w ciągu krótkiego czasu do apogeum sławy i geniuszu, następnie został obrzucony błotem, nazwany szarlatanem i wyzyskiwaczem. Tymczasem rzecz sama w sobie była odkryciem niezmiernej wagi naukowej, rokującem otwarcie nowych dróg wiedzy lekarskiej, największem odkryciem lat ostatnich, godnem stanąć obok odkrycia, dokonanego przez Pasteur'a ochronnych szczepień wścieklizny, ale o doniosłości praktycznej daleko mniejszej niż się z początku zdawało, a przedewszystkiem do zastosowania niedość wystudyowanem i dojrzałem. Jedynym też zarzutem, jaki Kochowi postawić można, jest ten, że dał sobą powodować sferom więcej polityce, niż sprawie nauki oddanym i skutkiem tego ogłosił pracę niezupełnie dojrzałą, narażając na niepotrzebne ryzyko swoją opinię uczonego badacza, na jaką dawno zasłużył szeregiem niespożytej wartości prac z dziedziny bakteryologii mikroskopowej. Prostym wynikiem niedość należytego opracowania przedmiotu było częściowe tylko odsłonięcie tajemnicy składu samego produktu, i to dało powód do pozornie słusznego twierdzenia, jakoby Koch chciał wyzyskać swoje odkrycie pod względem materyalnym. Zarzut taki jest jednak godzien swoich autorów. Po ogłoszeniu odkrycia Berlin zapełnił się ludźmi, których dręczyły męki tantalowe — dostania pięciu gramów „Originalflüssigkeit"; zawiedzeni zaś w swoich nadziejach, gdyż Koch bardzo skąpo rozdzielił pierwszy zapas środka pomiędzy swych kolegów i zaufanych uczniów, rzucali w prasie codziennej niestworzone wymysły na niego i jego otoczenie. Wszakże i piszący te słowa jeden z pierwszych szczęśliwych zdobywców owego złotego runa został obarczony zarzutem zrobienia geszeftu na „Kochowskim interesie" gdy tymczasem prócz krańcowego fizycznego zmęczenia nad zastosowaniem środka we wszystkich warszawskich oddziałach szpitalnych, jednocześnie ponieść musiał sporo kosztów na przeprowadzenie doświadczeń, nad otrzymaniem samego produktu i licznych prób na zwierzętach, bez czego rzecz tak niedojrzała nie mogła być należycie naukowo stosowaną.

Sposób przygotowania przetworu obecnie całkowicie przez Kocha ogłoszony, nie długo pozostał tajemnicą. Nazwa tuberkuliny powstała w Warszawie od chwili, gdyśmy doszli, że jest to produkt życiowy bakteryj gruźliczych. Po wykonaniu odpowiednich prób łatwo osiągnęlibyśmy przekonanie, że produkt ten otrzymuje się z wyjałowionych hodowli bakteryj gruźliczych. Ujawniliśmy następnie szczegółowy przepis otrzymania produktu i obecnie, po roku prawie, z ust Kocha mamy potwierdzenie, co do najdrobniejszych szczegółów, podanego przez nas sposobu. W artykule swoim Koch mówi pomiędzy innemi: „Nie przynosi to zaszczy-

---

Baron — pasuje. Grają na nowo,
Chwila się staje krytyczną.

Gra baronowa. Na radcę kiwa
Żona: „Patrz, słoni ich drzewo...
Jak ona świetnie lewy zakrywa!"
Mąż pyta: „Któż tu jest lewą?.."

Mecenas — myśli. Szept idzie w koło:
„Jak on zagląda jej w kartę!"
Baron się zaśmiał i rzekł wesoło:
„Zagrajmy w karty otwarte!.."

„As pański!"—szepcze, drżąc baronowa
Chyląc się przed mecenasem.
Lecz baron zręcznie podchwycił słowa:
„Może ja będę tym asem!"

Panowie świetnie grają a vista,
Kobiety pełne są krasy,
Wiatr szykanując piosenkę, śwista:
„Nie chodźcie na cudze asy!"

XIII.

Szczebiotka.

— Mateczko, jasne słoneczko
Śród złotych kąpie się chmurek,
Gdy nocą zajdzie za wzgórek,
Co ono robi, mateczko?

— Słoneczko, córuś, jak ojciec
Przez dzień śród niebios ogromu,
Na noc zaś wychodzi z domu,
Lecz dokąd, ha, trudno dociec!

— Mateczko, tam gdzie mgła siwa,
Czerwony wykwita pączek,
To pewnie wschodzi miesiączek,
Czemu tak wolno wypływa?

— Miesiączek, córuś, w przestworze
Czeka, aż zajdzie słoneczko,
Toć razem dwóch, ma dzieweczko,
Na niebie świecić nie może!

— Mateczko, pomyślę chwilę...
Gdy tatuś słonkiem w przestworze,
Miesiączkiem pan ten być może,
Co znosi łakoci tyle!

— Zmruż oczka, dziecino śpiąca,
Ach, tak palają ci skronie,
Okno firanką przysłonię,
Nie daje spać blask miesiąca!

— Mateczko, gdy pudełeczko
Dostaniesz znowu od pana,
Nie zjedz wszystkiego do rana —
Dobranoc, droga mateczko!

XIV.

Na poddaszu.

W państwie poddasza swobodnem, wesołem,
Nad gwarnem miastem w pobliżu niebiosów
Siedli z baterya butelek za stołem.
Wre burza hulaszczych głosów.

Jeden wykrzyka: „Podłe jest to życie,
Lecz człowiek jeszcze kpi z losów kolei,
Gdy ma ideę!" — Zawrzało w zachwycie:
„Hurra, za zdrowie idei!"

Zrywa się drugi: „Przed ideą — czołem!
Alеć ją przecie o głowę przerasta
Piękno!" Wrzask dziki rozlega się kołem:
„Hurra, niech żyje niewiasta!"

„Wiwat anioły!" krzyk pod gwiazdy zmierza
I wszystkie wróble z gniazd bliskich wy-
[strasza.
W[illegible] „hola!" słychać, pięść o stół uderza,
To powstał władca poddasza.

„Hola!" — powtarza i w bok się zatoczy,
Zwrócił ku mówcy pijane źrenice,
Podniósł nad głowę żylastą prawicę
I śmiechem parsknął mu w oczy:

„Kto tobie kłamał, że są tu na ziemi
Owe anioły z skrzydłami białemi,

tu bakteryologom, iż zamiast samodzielnie dojść do sposobu otrzymania tuberkuliny, żądali odemnie szczegółowego przepisu jej przygotowania. Każdy, obeznany z bakteryologią, po tem, co w krótkości powiedziałem o tuberkulinie, iż jest ona wyciągiem z bakteryj gruźliczych, łatwo mógł znaleźć sposób jej otrzymania do niego podobny, a może nawet lepszy." W istocie rzecz sama była bardzo prostą, gdyż od początku natrafiliśmy na sposób, który pozwolił nam otrzymać dość znaczne ilości tuberkuliny dla wykonania odpowiednich prób na zwierzętach.

Do ostatnich czasów wiedzieliśmy, iż bakterye wytwarzają pewne produkty trujące, które zostały wydzielone w postaci krystalicznych ciał, zwanych ptomainami. Od niedawna dopiero badania, przedewszystkiem szkoły Pasteur'a, wykazały, iż pomiędzy substancyami przez bakterye wytworzonemi znajdują się ciała, należące do białkowatych, obdarzone tak silnie trującemi własnościami, jak wynaleziona przez Roux'a i Jersin'a toksalbumina bakteryj dyfterytu zabójcza dla drobnych zwierząt w ilości nie większej od 0,01 miligrama. Wkrótce dalsze poszukiwania dowiodły, że niektóre inne bakterye wytwarzają również takie toksalbuminy. Podobne przekonanie wyraziliśmy i o tuberkulinie, a raczej o głównym działającym jej składniku, jest ona bowiem mieszaniną różnych produktów; przypuszczenie nasze, że istota działająca tuberkuliny zbliża się do toksalbuminy, różni się jednak od nich wytrzymałością na ogrzanie do 100° C., znalazło potwierdzenie w pracy Nenckiego, który wydzielił z tuberkuliny wespół z Hahnem ciało białkowate, nazwane przezeń toksalbumozą. Obecny artykuł Kocha, z którego pokazuje się, iż badacz ten wespół z Briegerem zdołał otrzymać z tuberkuliny ciało prawdopodobnie chemicznie jednorodne, bardzo silnie działające na zwierzęta i ludzi gruźlicą dotkniętych, u których już w ilości 0,02 miligrama wywołuje charakterystyczne objawy, jest dalszym ciągiem dowodów, że bakterye gruźlicze wydzielają ciało białkowate, toksalbumozę, która posiada szczególne własności wywoływania zmian miejscowych i ogólnych u zwierząt i ludzi gruźlicą dotkniętych.

Czy tuberkulina da się zastosować w leczeniu gruźlicy? Już teraz na zasadzie prób, jakie na zwierzętach zostały dokonane, oraz na zasadzie wyników stosowania jej u ludzi gruźlicą dotkniętych, można twierdzić, że mamy w ręku dzielny środek pomocniczy, który będąc ostrożnie stosowany, przyniesie może prawdziwy pożytek. Dalsze doświadczenia wykażą, kiedy i w jakich wypadkach środka tego używać będzie można. Sumienne obserwacye, jedne z najściślejszych, jakie wogóle w tym kierunku były przeprowadzone, wykazano w warszawskich szpitalach przez grono lekarzy pod przewodnictwem prof. Baranowskiego. Prace owego grona, zestawione razem, dotyczą kilkudziesięciu chorych i stanowią duży tom *Pamiętnika Towarzystwa lekarskiego*. Widać z nich, że tuberkulina da się zastosować w wielu razach, gdzie zwykłe środki nie objawiają pomyślnego wpływu.

Najbardziej interesującą stroną kwestyi z punktu widzenia naukowego jest rozbudzenie ruchu w zupełnie nowym kierunku, mianowicie ku poszukiwaniu bądź to w wytworach bakteryj chorobotwórczych, bądź też w ustroju zwierzęcym sztucznie nodpornionych pewnych ciał specyficznie działających na czynniki chorobotwórcze, szczące się w ustroju. Jeden z młodych badaczów angielskich, Hankin, wykrył niedawno w ustroju szczurów białych ciało, które może leczyć karbunkuł u zwierząt nim dotkniętych. Inny uczony wynalazł ciało białkowate, mogące leczyć tężec. Ciekawa ta a obszerna dziedzina wiedzy dostarcza nam coraz nowych widoków, które dotąd zamykają się w granicach pracowni, ale w niedalekiej przyszłości dadzą obfite i doniosłe wyniki.

O. B.

JĘZYKOZNAWSTWO.

Prace filologiczne, wydawane przez Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i Luc. Malinowskiego, z zapomogi Kasy Mianowskiego. Tom III, zeszyt III. Warszawa, 1891.

Zeszyt ten nietyle ilością, ile jakością artykułów zwraca uwagę żądnego nauki czytelnika. Na czele umieszczono słownik kaszubski porównawczy Aleksandra Berki (Biskupskiego). Dyalekt ten ważne w stosunku do języka polskiego zajmuje stanowisko, mało dotąd w zestawieniach dźwięków i form wyzyskiwane. Są tam np. formy pełnogłosowe, właściwe dyalektologii ruskiej. Zjawisko to wytworzyło się w Kaszubszczyźnie niezależnie od narzeczy wschodnio-południowych; albowiem okrom gałęzi północno-zachodniej, nierzadkiem ono jest w innych mowy indo-europejskiej odroślach. Osobliwością nazwać można w Kaszubszczyźnie takie gruppy dźwięków, jak np. *pered* (przed), *petarakowizna* (hultajstwo, lichota); zmiękczenie *r* po *p*: *przętro*, *przętra*, *przanter* (piętro), przypomina mazurskie: *psiwo, psiwna* ulica, *psjak* (pijak) itp.: miękczenie *k* przed *e*: seczera (siekiera); wyrzutnia *w*: *zątpieni* (zwątpiały); wtrącane *t* przed *r*, co szczególniej w czeszczyźnie widoczne: *strzebro* (srebro), *strzedni* (średni), *strz*kawka (sikawka, pompa), *strzoda* (środa); wtrącanie *s* na początku wyrazu (w nasłowie). *swęgier* (węgier), strzoda (trzoda), *scerzp* (sierp), wymiana *n* na *sz*: szętopierz (nietoperz). Zdaje się, że wyraz ten nie ma powinowactwa ze starosł. szętati sę (rzucać się), lecz utworzony został na mocy analogii ze „świętopietrzem". Zwracamy uwagę p. B., iż zestawienie strzoda (trzoda) z czesk. střída (środek, kromka chleba, rząd, następstwa, klasa, uliczka), ani pod względem fonetycznym, ani leksykologicznym nie przedstawia żadnej wartości; w znaczeniu uliczki, przeszło do czeszczyzny z włoskiego strada, w innych zaś znaczeniach stanowi *t* wtrącono w środosłowiu dla utrzymania zmiękczonego *rz*: strzoda właśnie zalicza się do przyrzutni *s* przed *t* w nasłowiu, tak więc wypadek ten zachodzi w czesk. *strzewic*, *strzewiczek* w stosunku do polsk. trzewik, trzewiczek.

P. A. Brücknerowi winniśmy bardzo wiele. Nie wiemy jak mu się odwdzięczyć, lubo przywykli do uganiania się za błahostkami, o wdzięczności tej nie myślimy.

Odkrył on w bibliotece petersb. zabytek mowy polskiej, zatytułowany przezeń *kazaniami świętokrzyskiemi*. Nie tyle treść ascetyczna, o ile język kazań godzien jest uwagi. Między innemi mówi p. B.: „Mamy przed sobą, jeżeli nie najdawniejszy pomnik języka, to przynajmniej odpis takiego, bo że to kopia nie oryginał, dowodzą tego pojedyncze błędy, powtarzania słów (np. wiział w kazaniu szóstem, wypuszczania i inne mylki". Pominąwszy inne właściwości, znane nam skądinąd, uderzają nas takie formy jak: *chocial*, *wrzemię* (czas), *wrzemienny*, *kłodnik* utworzone samorodnie. Znak *ą*, *ę* oznacza się za pomocą litery *o* z ogonkiem.

P. L. Malinowski w studyach nad etymologią ludową utrzymuje, iż przymiotnik czelny (przedni, wyborny, główny, stojący na czele), w XVII w. zmienił się na *celny* pod wpływem czasownika celować. Tak więc mamy obecnie trzy przymiotniki jednego brzmienia, ale odrębnego znaczenia: 1) celny od cel, 2) od cło np. komora celna i 3) od czoło, np. celniejsi pisarze. Przymiotnik krewki nie pochodzi od krew, lecz brzmiał on pierwotnie krechki (ułomny). Obojętny znaczył ongi obustronny, np. obojętny garnice (o dwu uchach). Jest on złożony z liczebnika *obu* i tematu jądu — staropolsk. dojąd (quamdiu), odjąd (inde).

Którym od ramion płaszcz cnoty opada?
Ten ubiór — to maskarada!

Gdy w serca wiośnie, śniąc na kwieciu róży,
Objąłeś dziewczę w uścisk nakształt burzy,
Ilekroć padłeś na tę pierś kochaną,
Tobie kłamano, kłamano!!"

Urwał i jeszcze rękami potrząsa,
Tłum koło niego w milczeniu się skupił,
A jeden odparł, pokręcając wąsa:
„Rozumiem. Straszniś się upił!"

XV.

Orgia.

Wybiegł z poddasza, wiatr włos mu rozwiewa,
I gwiżdżąc, krąży z daleka:
„Za kim wzlatałaś, ślepa ćmo człowieka?"
Od śmiechu trzęsą się drzewa...

Stanął nad rzeką, nurt huczał wezbrany,
A czarne wody szumiały:
„Tu na dnie naszem twoje ideały!"
Ha, jak nurt ciska swe piany...

Skurczył się, skoczył w nurt czarny i mętny,
A kołem słychać szept fali:
„Daj ust, my teraz będziem się kochali!"
Ha, jak fal uścisk namiętny...

Hucząca topiel plusnęła do góry,
Rąk para widna nad wody,
A wiatr z nurtami szaleje w zawody
Śród dzikiej orgii natury.

XVI.

Północą.

Chmur orszak przez niebo bieży,
W zaułkach świszczy wichura,
Bije dwunasta na wieży,
Godzina duchów ponura.

Ulicą pustą cień sunie,
Cień czarny. Jak piszczel ręka,
Jak szkielet w mokrym całunie,
Tak zdąża, zębami szczęka.

Czasem do latarń się zbliża
Lub ręką wspiera na murze
I jęczy — a nocni stróże
Widząc go, robią znak krzyża.

Czasem się nieco zatoczy
Śród nocy wietrznej i kruczej,
A wtedy spluwa i mruczy
I gubi w ciemnościach oczy.

Rozpacz wyziera z tych źrenic,
Śród błota grzęzną mu pięty,
Staje przed jedną z kamienic,
Dzwoni i klnie, jak najęty.

Dzwoni i klnie i kołata,
Wrzeszcząc śród złości ataku:
„Kroćset piorunów!.. U kata,
Rusz się, ty stary pijaku!..

Otwieraj bramę, ty piło!
Nie zrzędź! Mam członki skostniałe,
Ty codzień zalewasz pałę,
Mnie się to raz przytrafiło...

Będziesz od baby twej wstawał?!
Zgłupiejesz do reszty, chamie!
Raz jeden (niech ich połamie!)
Dałem się wziąć na ten kawał...

Na młodość, że sercem płaci,
Na miłość, że jej nie kupi,
Na cnotę w żeńskiej postaci
I byłem olbrzymio głupi!..

Więc chciałem raz ulżyć sobie
I raz się chciałem zakropić
I raz się chciałem utopić —
Lecz tego więcej nie zrobię!"

P. Boudouin de Courtenay zaleca pisownię — ja (kwestja). Na czele rozprawy objaśnia genezę dźwięków według Sieversa (*Grundzüge d. Phonetik* 1881). Z okoliczności przytoczonych przez szanownego autora formy *Marza* zam. Marja *), pozwolimy sobie nadmienić, że wyraz ten istnieć musiał w niektórych prowincyonalizmach mowy czeskiej XVII w. albowiem napis grobowy matki Waldsteina (Wallensteina) ma imię: Marža (Marja). Pisownia zalecana przez p. B. nader się już w ostatnich czasach na znakach sklepowych rozpowszechniła i przedstawia ona wierne świadectwo wymowy w ustach wyższych i średnich warstw społeczeństwa. Okrom p. B. za nową tą pisownią, głosują pp. Karłowicz, Kryński i Luc. Malinowski. Jest ona ściśle fonetyczną.

Justyn Feliks Gajsler.

*) Pamatky archeologické a mistopisne. díl. III. s. I.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

(Dokończenie).

Najmniej oryginalnych poglądów zawiera charakterystyka p. de Staël. Mówiła ona o Rousseau: „Nic nie wynalazł a wszystko rozgrzał i rozświetlił.“ Względem Rousseau jest to wątpliwe; względem niej jest to słuszne! Jest najlepszą, jakkolwiek bierną tylko, wyrazicielką idei, które panowały w końcu XVIII i na początku XIX wieku. Odbywała wślad za swym czasem wszystkie przemiany. Szła z encyklopedystami, z rewolucyą — dochodząc do krańcowych jej wyników — z romantykami. Wprowadziła przymieszkę niemiecką do ducha francuskiego. Wyrzekła głębokie słowa: „należy trzeba mieć umysł europejski.“ Znaczyło to dać wiekowi, który się rodził, jego dewizę. Można ją śmiało do niej zastosować. Jest to umysł europejski w duszy francuskiej. „Pan Constant wydaje się być pozbawiony męskości, przynajmniej w swych pismach“ — powiadał de Maistre. Nic dziwnego. Sceptyk z systemem najdogmatyczniejszym, człowiek moralności wątpliwej, który system swój oparł na prawie moralnem, człowiek bez śladu uczucia religijnego, który całe życie pisał o religii i, jeszcze, człowiek wielki umysłem i prawie dziecko wolą — nie jest to rzecz pospolita, a w osobie historycznej, która pozostawiła głęboką bruzdę na fali wypadków, niezmiernie ciekawa. Tak było z B. Constantem. Rozdarcie jego woli jest tragikomiczne i nigdy nie sprawdzało tego, do czego dążył. Tragicznych na to dowodów masa. A oto komiczny. Woła on: „Jest to absurdem żyć z ludźmi, którzy nie umieją spać. Muszę się ożenić, aby się kłaść wcześnie“ — a trochę później: „Moja żona ma manię czuwania! A ja, który się ożeniłem po to, aby wcześnie się kłaść...“ Nie jest nigdy zadowolony. Jego miłości są rozpoczęte, opuszczone, znów podjęto, przeplatające się ze sobą, z rozpaczą, wstrętami i zachwytami. I rzecz dziwna, albo raczej naturalna: był w stanie mieć trzy romanse jednocześnie, zupełnie szczere i cierpieć jednocześnie we wszystkich trzech. Jest tu miejsce na orzeczenie: „der Mensch ist überhaupt kein Monogamist.“ Ale jego własne cierpienia są niczem w porównaniu z temi, które innym sprawiał: świadectwem jego związek z p. de Staël. Jest tu miejsce na zapytanie: czyja wina? — i na odpowiedź: w dwóch tysiącoleciach skrzywionej cywilizacyi. Constant jest poetą, ale nie dostatecznie, aby zrobić ze swej nudy wielką melancholię; nie posiada on dość dumy, aby powstrzymać swe zmęczenie w majestatycznej pozie — jak to czynił Chateaubriand.

I przy tem wszystkiem był mistrzem w analizowaniu słabości i sprzeczności własnego serca — czego mu nie chciano wybaczyć, osądzając jako człowieka złośliwego i bez uczucia. Tylko słabość umysłu ma usprawiedliwiać lekkość serca. Z dziennika jego widać, że człowiek w nim wciąż spogląda na dziecko. Dziennik prowadzi regularnie. Ludzie, mający tę wadę hojną, są po większej części kapłanami wewnętrznego Boga: dość dyskretni, aby nie śpiewać *Te Deum* publicznie, nie mogą jednak sobie odmówić cichej mszy. Constant nie jest jednak w tym wypadku: znieważa się raczej i to nie przez wykręt obłudnej dumy, lecz pracą głębokiego i uczciwego umysłu. Pod tym względem jest on sympatyczny, chociaż nieograniczony egoista. Nie ma najmniejszego poczucia wielkości. Jego bunty przeciw własnym zboczeniom nigdy nie dochodzą do chęci poświęcenia się jakiejś sprawie, tylko do wniosku lepszego postępowania w widokach powodzenia. W *Adolfie* odmalował się w sposób mistrzowski z tą „mieszaniną egoizmu i uczucia, entuzyazmu i ironii,“ ironii służącej za maskę naturalną nieśmiałości i sentymentalizmu cierpienia, wywołanego brakiem czułości. Był zdolny wyzywać przesądy świata, bojąc się ich nieskończenie. Ponieważ nie miał sumienia opartego na przekonaniu moralnem lub religijnem, więc urobił je sobie z obawy tego, „co powiedzą.“ Jest to jedyne, które nadał Adolfowi z surową goryczą i jakby wyrafinowaniem legalności. Nikt lepiej od niego nie zgłębił poziomości własnej natury, egoizmów miłości, ostrożnych ograniczeń poświęcenia aż do samolubstwa litości. Ale może jedyny nie mieszał dumy do pogardy, którą czuł ku sobie. Był ojcem romansu psychologicznego i jednym z najlepszych spostrzegaczy mglistego świata o głuchych szmerach, który nosimy w sobie. Oprócz tego należał do wielkich polityków — co jest prawie niezrozumiałe, ze względu na jego wolę — i wielkich pisarzów politycznych — co jest jasno, ze względu na jego umysł. Mamy tu przed sobą istotnego myśliciela, który nie przyodziewa swych namiętności w doktryny, swych gniewów — w systemy, swych uraz — w rozumowania i swych słabości — w socyologie. Thermidorzysta, człowiek Dyrektoryatu, człowiek Konsulatu, człowiek Stu dni, czyhający koło wszystkich rządów z wieczną niecierpliwością wkręcenia się do nich, ciągniony do jednej partyi przez rękę zbyt kochającą w chwili, gdy sam się skłaniał ku innej. W trzy tygodnie przed okresem Stu dni wołał na całe gardło: „Nie pójdę, jako nędzny uciekinier...“, a jednak poszedł: nie ubiegł miesiąc, a został ministrem „Dżengishana.“ Był głównym agentem mglistej nader machinacyi, która miała wspiąć Bernadotta na tron Francyi. Niezbyt skrupulatny w związkach, a czyny jego miały zawsze w sobie coś ciemnego. Tylko trzeba pamiętać, iż handlował jedynie swą renomą, nawet godnością, ale nigdy myślami. Jego honor był miękki, ale umysł nieprzejednany. Czy to w Konsulacie, czy w Dyrektoryacie, czy w innym jakim rządzie, sadowił się, jak u siebie w domu i rozwijał spokojnie swój program polityki liberalnej, program, który nie zmieniał się nigdy, był nieprzekupny dla swego autora nawet i nie miał w sobie nic lokajskiego. Dlatego też trzeba mu oddać tę sprawiedliwość. Constant, jeżeli wszędzie wchodził, nigdzie nie pozostawał. Gdy brał od Ludwika Filipa zapomogi, uprzedzał, iż zwalczać będzie, jeżeli go znajdzie złym. Obiegało o nim wówczas słówko okropne: „il s'est vendu, mais il ne s'est pas livré.“ Jest to ohydne, ale słuszne. Czy się sprzedawał z ambicyi, czy z innego, bardziej poziomego powodu, było w nim coś, czego oddać nie mógł: to jego idee. Nie zależały one ani od jego uczuć, ani namiętności, ani potrzeb, ani dążeń. A jednak — tak jest wielka zależność wszelkich systemów naukowych od ducha ich autorów — i tu znaleźć można pokrewieństwo. Źródło idei Constanta odkrywamy wprawdzie nie w jego namiętnościach, ale w oddalonem zagięciu, prawie zmarszczce jego charakteru. W głębi dostrzegamy pewnego rodzaju egoizm, nader dystyngowany, ale ostatecznie egoizm, bardzo określony, a przytem nadzwyczaj wymagający. Olbrzymia potrzeba niezależności, krępowana przez tyranie natury żądnej użycia — oto treść Constanta. Indywidualizm był dlań odwetem jego słabości. Od zboczeń swych uczuć szukał schroniska nie w duchu poświęcenia i ofiary, lecz w egoizmie inteligentnym i dobrze obmyślanym. Pod jego skrzydła uciekał, wymknąwszy się z domu gry, salonu lub męczącej awantury miłosnej. Ten egoizm cienisty stanowi treść jego systemu politycznego, nawet idei religijnych. Był wynalazcą liberalizmu, jako potrzeby ciągłej autonomii osobistej, nieufny i zazdrosny o wszelkie karyery społeczne, jak ojczyzna, naród, tradycya, prawo. Jest mu nienawistna nawet demokracya, gnębiąca mniejszość. Dążąc do minimum rządu, nie mógł nigdy tego minimum określić. Prawo jest dlań tyranią nieosobistą, która nie zawsze zasługuje na posłuszeństwo, a mianowicie wówczas, gdy narusza sumienie.

Nareszcie w moralności porównywa maksymy do pagod indyjskich, które wielbiciele zdala witają, nie zbliżając się do nich nigdy — a jednak sam zachowywał formy. Właściwie mówiąc, wpływ charakteru na umysł był u Constanta daleko głębszy, niż to Faguet przypuszcza. Tylko tym wpływem można objaśnić wszystkie powyższe wahania. Jest to zarazem tajemnica jego przewrotności.

L. W

PODRÓŻ NAOKOŁO ZIEMI *)

Karola hr. Lanckorońskiego.

Hrabia Lanckoroński, autor dzieła archeologicznego: „Miasta Pamfilii i Pizydyi,“ o którem mówiliśmy w *Prawdzie*, występuje z nową książką przeważnie estetyczno-archeologicznego charakteru. Wróciwszy z podróży naokoło świata, urządził w zeszłym roku nader zajmującą wystawę indyjską, chińską i japońską w Wiedniu. Obecnie wydał pamiętnik, spisany z tej podróży, przeznaczony pierwotnie dla bliższego koła przyjaciół, dziś z zupełną racyą literacką i naukową ogłoszony dla szerszej publiczności.

W pamiętniku tym występuje plastycznie indywidualność tego bądź co bądź niezwykłego człowieka, a z góry dodać możemy, występuje ona w świetle najsympatyczniejszem. Hr. Lanckoroński nie jest tem, o co go posądzano do niedawna: archeologiem dla przyjemności. Nie jest on wogóle wyłącznie archeologiem, lecz człowiekiem wszechstronie i filozoficznie wykształconym, myślącym wiele i bardzo poważnie, niemającym żadnych przesądów. Owszem, zwalcza on je z pewną łagodną ironią, która właściwa jest tylko prawdziwie światłym ludziom. Objeżdżając świat, bada, co prawda, ze szczególnem upodobaniem rozwój sztuki plastycznej w oddalonych ogniskach kultury, lecz nie mniej zajmuje się ogólnym stanem cywilizacyi, kwestyami społecznemi i polityką, a nieraz, zaznaczywszy zjawisko jakieś, rozwija własne myśli historyozoficzne lub polityczne, które zdradzają niezwykłe oczytanie i bystrość. Zapowiada zresztą w przedmowie

*) *Rund um die Erde.* 1888—1889. Geschautes und Gedachtes. Stuttgart, J. G. Cotta, 1891.

czytelnikowi, że w pamiętniku jego nie znajdzie zajmujących awantur, któremi podróżnicy okraszają swe dzieła, że nie uwalniał po drodze kobiet, a nawet nie polował na lwy, niedźwiedzie lub antylopy. Istotnie też w toku całego opowiadania zachowuje się jak uczony, nie jak magnat podróżujący. Jedzie też spokojnie parą wołów po Indyach; raz tylko, straciwszy cierpliwość, najmuje sobie osobny pociąg kolejowy z Ajmere do Jaipuru. Innym razem w Kalkucie spotyka dwóch młodych arystokratów węgierskich, hr. Hoyosa i Szechenego, którzy wracają z Indyj, gdzie odbyli przepyszne polowania na tygrysy: wówczas znowu budzi się w uczonym instynkt oddziedziczony, więc zapytuje naiwnie sam siebie, czy ci panowie nie obrali przyjemniejszego sposobu podróżowania?

Lecz jak światłą w gruncie rzeczy jednostką jest autor „Podróży dokoła ziemi,“ o tem przekonywamy się, czytając np. polemikę jego z historykami, którzy wykluczają dzieje Indyj i Chin z ram historyi powszechnej, jak to uczynili Renan i Ranke w ostatnich swych dziełach. Według niego historya powszechna obejmować powinna nietylko losy tych ludów, które wpłynęły na naszą cywilizacyę, lecz zająć stanowisko wyższe, z którego każdy rozwój kultury na równą zasługuje uwagę. „Świat nie istnieje wyłącznie dla nas ludzi, nic nie uprawnia nas do przypuszczenia, że nie istnieją maszyny bardziej skończone, aniżeli mózgi nasze, maszyny, w których wszechświat odbija się doskonalej; szczęście lub nieszczęście nasze, indywidualne i zbiorowe, nie ma w gruncie rzeczy żadnego znaczenia dla losów świata, jest to również śmieszne jak bluźniercze, jeżeli nieskończoność mierzymy naszymi drobnymi, doczesnymi celami. Planeta nasza bynajmniej nie na to została stworzona, aby codziennie na niezliczonych zaczernionych szmatach lichego papieru tysiące ludzi mało co wiedzących, a mających mniej jeszcze sumienia, tłomaczyły milionom ludzi zgoła nic niewiedzącym to, czego sami nie rozumieją, lub aby codziennie w niezliczonych koszarach młode, najsilniejsze jednostki Europy uczono najrychlejszego i najpewniejszego sposobu zabijania bliźnich, co dziś uważać niemal można jako główną zdobycz słynnej cywilizacyi naszej.“

Widząc w Kalifornii walkę rasy białej z chińczykami, odzywa się Lanckoroński: „Przesąd rasowy w porównaniu z wyznaniowym, rewolucyjnym i reakcyjnym jest stanowczo cofnięciem się wstecz, gdyż nie zawiera w sobie żadnego pierwiastku idealnego. Podłe namiętności, które streszczają się w wyrazach: „ôte toi de là pour que je m'y mette“ *), a które współdziałały zarówno w wojnach krzyżowych, w prześladowaniach maurów i heretyków hiszpańskich, jak w wojnach husyckich, w walkach reformacyjnych i rewolucyjnych, występują pod hasłem tem w zupełnej nagości.“

Poznawszy sposób myślenia hr. Lanckorońskiego, chętnie powierzamy mu się jako przewodnikowi.

Opuściwszy ląd europejski w Marsylii, zatrzymuje się naprzód na wyspie Cejlon, poczem zmierza do Indyj. Zwiedziwszy ich część południową, północną i środkową, bawi przez krótki czas w Chinach, a dokładnie zwiedza Japonię. Stamtąd udaje się do Ameryki północnej, a przez S. Francisco, Chicago, New-York, Boston wraca do Europy. Do Indyj towarzyszył mu S. Fischer, znany akwarelista wiedeński, który zdejmował najpyszniejsze widoki, a dla świeżo ogłoszonej książki Lanckorońskiego sporządził prześliczne inicyały.

Pamiętnik ma jedną cechę główną: jest on niemal wszędzie porównawczym. Autor, który zwiedził kilkakrotnie wszystkie niemal części świata cywilizowanego, a historyę sztuki zna wybornie z uważnego badania jej pomników, zebranych w muzeach i galeryach europejskich, przedstawia rodzaj żywej encyklopedyi etnograficznej i estetycznej. Pamięć nigdy go nie opuszcza: wobec zjawisk kultury i wytworów sztuki Wschodu nasuwają mu się podobieństwa z Zachodu, zawsze niemal trafne.

Główna część pamiętnika poświęcona jest Indyom. Obserwując życie ludu, spotyka Lanckoroński nader często obchody weselne. W Bombaju widzi aż pięć wesel parsyjskich, odrazu sprawianych, osypany kwiatami i cukierkami. Gdzieindziej znowu piętnastoletni pan młody ciągnie dziesięcioletnią narzeczoną za sobą na sznurze, a oboje uginają się pod ciężarem olbrzymich ozdób — są to dzieci prawdziwych hindów. W Benaresie podczas ślubu mahometańskiego za parą młodą niosą na deskach niezliczone kwiaty, pawie, figurki, wszystko z masy papierowej. W Jaipurze zwiedza Lanckoroński pyszny pałac królewski; Mahazaja odjechał właśnie do Kalkuty, biorąc z sobą jeno sześć prawowitych małżonek, sto nałożnic, pięćset służących, mnóstwo wielbłądów, koni i słoni. Ze stajni królewskich wyprowadzają rysia, używanego do łowów. Na drzewach poblizkich gnieździły się orły: służba rzuca dla nich surowe mięso, a gdy jeden z nich zleciał na wysokość sześciu stóp, ryś jednym skokiem dosięga go i rozszarpuje.

Nader cenne są uwagi Lanckorońskiego o sztuce indyjskiej. Wiadomo, że zwłaszcza architektura tamtejsza wiele ma w sobie podobieństwa do chrześciańskiej. Lanckorońskiemu rzeźby i malowidła indyjskie przypominają również najżywiej wzory chrześciańskie. W Masdanie jest posąg Buddy jako ascety, nader podobny do „Jana w pustyni“ Donatella. Muzeum w Lahorze posiada zbiór miniatur pierwszorzędnej wartości, z których wieje duch włoskiego *quattro-centa*. Uważnie studyował Lanckoroński jeden z najwspanialszych pomników budownictwa indyjskiego, Taj-Mahal. Jest to mauzoleum, które szach Jehan wybudował dla małżonki swej Mumtar-Mahal („dumy pałacu“). Umarła ona przy porodzie ósmego dziecka. Kiedy cesarz postarzał, syn jego Amangzebe zdetronizował go i zamknął w pałacu, w Agra, gdzie stary Jehan zmarł, spoglądając na Taj-Mahal. Jest to wzór architektury indyjskiej, zarówno w rozmiarach swych olbrzymich, jak w wykonaniu filgranowem; cechy te dały powód do przysłowia, że cesarze indyjscy budują jak tytani, a wykonywają jak złotnicy.

Z Indyj puszcza się Lanckoroński okrętem najkrótszą drogą do Chin. Na pokładzie statku wobec zwrotnikowego upału panuje zupełna swoboda ubrań lub raczej daleko posunięta bezkostiumowość, która — stare to spostrzeżenie — kobiety pozbawia wdzięku, zamiast im go dodawać. To senne Aryadny, leżące przez noc całą na plecionych sofkach, wydają się Lanckorońskiemu w najlepszym razie śmiesznemi. W Singapurze udaje się on do muzeum, gdzie spotyka bogatą damę chińską, która oprowadza swe dzieci i wita go uprzejmem: „tszin-tszin!“, na co grzeczny hrabia odpowiada niemniej uprzejmem „tszin-tszin!“

Godne przeczytania są uwagi o polityce Gladstona względem Chin. Niemniej zajmujący jest opis życia towarzyskiego, przyjęcie Lanckorońskiego w domu zamożnego chińczyka, którego żona wskutek zaniknych stóp nie może ruszyć się z miejsca, a podając gościowi na pożegnanie rękę, drapie go długimi paznokciami.

Wiadomo jednak, że mimo upadku muru chińskiego, instytucye tamtejsze ciągle jeszcze są nieprzystępne dla obcych. To też Lanckoroński z większym skutkiem poświęcił się zbadaniu stosunków i utworów sztuki japońskiej. Nazywa on japończyków francuzami Azyi. Nietylko że wielka ich rewolucya w r. 1868 przypomina pod wieloma względami rewolucyę francuską; posiadają oni pewien rodzaj brawury, który o wiele bardziej przypomina „furia francese,“ aniżeli „furor teutonicus.“ Są wielostronnie uzdolnieni, a przytem powierzchowni; łatwo zapalają się do wielkich idei; w literaturze i sztuce zdradzają więcej smaku, niż głębokości, nie wytwarzają wiele własnych myśli, tem więcej zaś rozwijają obce.

Wiadomości, które Lanckoroński podaje o sztuce japońskiej, mają znaczenie cennego źródła, gdyż jest to autor, na którego obserwacyach polegać można. Dokładniej, niż ktokolwiek przed nim, zbadał zwłaszcza malarstwo tamtejsze. Znalazł on trzy gatunki obrazów: na drzewie, na papierze i na jedwabiu (t. zw. kakemonos) i podaje cenne uwagi o historyi i technice tych utworów. Oglądał pałac mikada w Kioto, do którego wnętrza żaden przed nim europejczyk się nie dostał i opisuje dokładnie cykle malowideł, wykonanych na ścianach z papieru, które zdobią wnętrze. Opowiada cuda o zręczności artystów japońskich „fapresto“ („Schnellmahler“), którzy z błyskawiczną szybkością rysują zwierzęta i ludzi.

W Ameryce poznaje naprzód Kalifornię. Jadąc koleją do New-Yorku, widzi na stacyach potomków indyan czerwonoskórych w stroju europejskim, sprzedających fotografie i owoce. Czynią oni na nim wrażenie lwów, które nauczyły się aportować.

Pomniki amerykańskie mają być wzorem złego smaku, np. posąg Waszyngtona w Bostonie lub Lincolna w Chicago, gdzie stoi próżne krzesło, na wypadek, gdyby kamiennemu Lincolnowi znudziło się stać.

W Montreal widzi Lanckoroński obrazy polskie; zwłaszcza podoba mu się perspektywa leśna Kowalskiego, która zdradza szkołę Brandta.

Uwagi Lanckorońskiego o politycznych stosunkach Ameryki północnej nie zawierają niczego, czego by już Tacqueville nie powiedział. Zajmujące są natomiast wiadomości o zbiorach sztuki w głównych muzeach.

Księgarnia Cotty wydała książkę Lanckorońskiego na przepysznym papierze i w nader gustownej oprawie.

Ladawa.

*) Usuń się i zrób dla mnie miejsce.

ŚRÓD MUZ.

IX.

Nie zmarnowała lata drużyna malarska; kto chce, może się o tem przekonać w Salonie Towarzystwa Zachęty. Wogóle z bólem serca przyznaję dziatwie Apellesa, iż między nią a pracownikami pióra zachodzi pewna, dosyć dla tych ostatnich niekorzystna różnica. Gdy bowiem rozjechawszy się po świecie, literaci nasi przysyłają do dzienników i tygodników z nad mórz i z nad jezior, z badów i strumieni górskich — wodę, zazwyczaj cieplicę obojętną, — tedy malarze starają się chwycić w garść słońce z jego światłem. Robota to pono nieco trudniejsza, lecz wzamian owoce jej trwają dłużej.

Szczególnie na słońce sidła w tym roku zastawili nasi dwaj impresyoniści pp. Podkowiński i Pankiewicz, którzy w przykładnej snadź, żyjąc zgodzie, w bliskiem ze sobą sąsiedztwie zajęli oddzielny jakoby kącik w naszej odnowionej galeryi. Drugiego z nich, który i pod względem płodności zajmuje miejsce wtóre, poznać można po kolorycie bledszym nieco, jakgdyby pociągniętym lekką mgłą. Trudno powiedzieć, ażeby z nią dobrze było zwłaszcza obrazowi, zatytułowanemu „Południe,“ w którym główną rolę odgrywają drzewa, nawiasem mówiąc, doskonałe, oraz kwietniki, aleje i jejmość, wpinająca różę we włosy. Na plamy czerwone i zielone obliczone pło-

tno to posiada dobrą perspektywę, ale wątpię, czy ktokolwiek odczuje w niem południe; jest tam bowiem i powietrze i światło, ale takie, jakie bywa o każdej porze dnia i nawet przy niezbyt pewnej pogodzie. Wprawdzie motyw, wybrany przez artystę, do łatwych bynajmniej nie należy, ale tym razem stanowczo siły dobrej woli nie sprostały. Ażeby już raz być szczerym, powiemy, że i „Staw zarosły“ tego samego pędzla nie tłomaczy się i bez pomocy napisu śmiało w oczach każdego bezstronnego widza uchodziłby za bujną nader łąkę, za kwaśne trawy, za trzęsawiska wreszcie, ale żadną miarą za to, co leżało w zamiarze p. Pankiewicza. Temat to nadzwyczaj prosty i niewyszukany, ale z tem wszystkiem subtelny, trzeba bowiem było pewnemi symptomatami, jak kolor i kształt trawy, jak sposób jej porostu, nasunąć domysł, że pod nią, lub nawet i między jej kępami ukrywa się woda. Można z całą pewnością wywróżyć malarzowi temu, a nawet wszystkim jego kolegom, że w motywach, *całkowicie* pozbawionych efektu lub dosadnego charakteru będą się zawsze potykać. Można niewątpliwie każdy bez wyjątku szmat natury przenieść gwałtem na płótno, ale do tego potrzeba mieć albo charakterystyczną manierę Chełmońskiego, dajmy na to, w jego „Krajobrazie bez słońca“ lub „Burzanach stepowych,“ albo też większą, niż dotąd przez sztukę zdobytą technikę.

Pan Podkowiński tę prawdę musi przezornie uznawać, skoro jego krajobrazy pełne są efektu, może niekiedy nawet za pełne. Brzeg wody, poziomo przecinający płótno, wyniesiony cokolwiek na planie dalszym, żółci się w przerażliwy sposób grubą warstwą jajecznicy, w której wolno zgadywać rzepak, łubin, ale w którym artysta z dziwną, godną lepszej sprawy zaciekłością, z rozkoszą desperata znęcał się oczywiście i nad pędzlem i nad blejtramą. Gdyby nawet zeskrobać brzytwą parę łutów farby, jeszczeby jej dosyć zostało na oznaczenie całych włók żółtego pola. Również pozioma wstęga wody zaleca się przejrzystością i blaskiem i wybornie odbija zarówno bliższe jak i dalsze strzępy roślinności, jedne wyraźniej, inne znów bielej, i robi wrażenie doskonale gładkiej i częstej szyby wód, którym to jeno zarzucić można, że przeglądający się w nich błękit nieba dodaje im tego wielkiego uroku znacznym dosyć kosztem, bo za cenę prawdy. Tylko na południu niebo przybierać może tak ciepły, głęboko szafirowy ton i w tej właśnie kolorystycznej przesadzie tkwi efekciarstwo p. Podkowińskiego. O ile przedtem poświęcał on wszelki powab kolorytu jednej niewiadomo dlaczego ukochanej barwie np. w „Bilardzistkach,“ o tyle znów teraz zdaje się znów idealizować wszelką przyjemną grę świateł. Ostatecznie wolimy już to, tym bowiem sposobem artysta przerzuca się stopniowo z opętania żółto-zielonego w prawdziwie estetyczną słabość dla wszystkich czynników harmonii, podniesionych wszakże do skali, po dawnemu, impresyonistycznej. Zanika u niego chęć wykluwania ludziom oczów niebiesko-czerwonemi mapami, zającami i drobiem, a ustala się jedynie maniera szybkiego, dorywczego kładzenia farb, oraz wyławiania wszelkich możliwych (czasem i niemożliwych) refleksów i składowych części tonu lokalnego. O najnowszych więc jego utworach — tak samo jak o obu płótnach Pankiewicza—można bez złośliwości powiedzieć, że widziane z oddalenia zyskują na plastyce i perspektywie wówczas, gdy obrazy inną metodą malowane, o ile nie celują szczególną siłą koloru i wypukłości, tylko zblizka oglądane nie tracą światła, nie zlewają się w jakieś *mixtum compositum*, nie tracą poprostu samoistnego bytu w otoczeniu innych malowideł i innych sprzętów.

Niemniej udał się p. Podkowińskiemu i drugi pejzaż, przedstawiający wodę z kępami sitowia, który rzuca na nadbrzeżne krzewy i trawy żółtawe połyski. I tutaj woda ma swój charakterystyczny, poetyczny spokój i czystość. Bogil Gdzież się podziała nie tak zamierzchła przecie pamięć owych nieszczęsnych paćkanin, co teraz wiszą niby zawstydzone u Krywulta, pod sufitem, jako *corpus delicti* rozbrykanej, na współkę podjętej i na współkę też... kopniętej doktryny!..

Nie możemy też pominąć milczeniem dwu portretów tego samego stempla, zwłaszcza że i na nich widać dokonywającą się w p. Podkowińskim przemianę. Ani mężczyzna, siedzący w gabinecie, w krzyżowym ogniu różnorodnych refleksów od wschodnich mebli, ciężkiej kotary i kwiatów, ani pani w alei pod szpalerem drzew, ubrana niebiesko i odwrócona do widza profilem, nie uderzają wyrazem. Trzeba artyście przyznać, że umie unikać szablonowej pozy i zręcznie z portretu robi dzieło sztuki zamiast czcigodnego „przodka“ lub „przodkini,“ którzy mają w salonie dawać przytułek pająkom; wypada też zgodzić się, że nawet malowane przezeń osoby zyskują pod jego ręką pewien akcent niepowszedni, nieładny, ale i nie miękki i nie słodki, ale zawsze to nie zastąpi skupionej ekspresyi, której wymagamy od portretu. Pan Podkowiński ma wyborne poczucie dobrego smaku, niezmierną pewność i brawurę rysunku, ta jednak o ile powabną czyni postać damy w momentach górnych, o tyle naraziła na szwank nogę, w której stopa, wyzierająca z pod sukni, zdradza albo pewne nadłamanie, albo nadmierne wyprężenie ścięgen pod kolanem, albo wreszcie zbytnią w stosunku do bliźniaczki długość. Raz już przybrawszy ton panegiryczny, nadmieńmy wreszcie, że nawet kobiety piorące bieliznę w przeręblach ujawniają teraz wiele dobrych stron— zwłaszcza w krajobrazie. Sprawcą tego jest niewątpliwie lepsze w salonie oświetlenie i odpowiedniość miejsca zajmowanego przez utwór ten na ścianie.

Pan Podkowiński staje się artystą rozciekawiającym. Czuć w nim po za narowem paryzkim pewną indywidualność bardziej cenną: hazard: odwagę cywilną, pełnię życia. Dyplomata z podobnemi warunkami prędko by wpadł w niełaskę, ale artysta może z niemi zajść daleko. Natomiast w p. Pankiewiczu znać jakąś niepewność, wahanie się i bodaj czy nie zbytnią wrażliwość na wpływy zewnętrzne. Malarz, jeśli nie chce przestać być sobą, to jest stracić racyę swego bytu, do której tak często nawoływał kolegów swych Sainte-Beuve, powinien być bezwzględnie niezawisłym, nawet od związku przyjaźni i braterstwa w idei...

Zawsze jednakim i wiernym swej naturze na podziw — jest Chełmoński. Od dłuższego już czasu nie dawał znaku życia, aż oto „Czapla — bąk“ naraz wskrzesza wspomnienia znakomitego „Odlotu żórawi,“ „Dropi“ i tym podobnych dzieł, w których, urągając po prostu wszelkiemu tak zwanemu układowi obrazu, chwyta na gorąco daną chwilę życia w przyrodzie, bez względu żadnego na jej linie i barwy, byleby zawierała w sobie dosadność, żywiołowość, u tem samem — choć może artysta się tego wypiera — i poezyę. I w obecnym wypadku, w tym ptaku ogromnym, co się spuszcza rozczapierzonemi skrzydły i w dół ustawionym dziobem i pazurami, na toń rozległego stawu, wre ta sama siła pierwotna, pół-dzika, a jednak nie wolna od melancholii stepu i pustki, której wcieleniem są jego różne skrawki puszcz litewskich. Ażeby módz odważyć się na odtworzenie tej czapli z jej potwornym konturem, musiał malarz wytężyć chyba cały zmysł swój spostrzegawczy, po prostu zabrać bliższą znajomość z dziwacznem stworzeniem, dopomódz pamięci fotografią, któraby pochwyciła moment lotu, nieprzystępny dla zwykłego oka. Dokładność, niezmiernie trafiająca do przekonania, zarówno w czapli, jak i liliach wodnych z ich splotami i kwieciem, nadaje obrazowi cechę zoologiczno-botaniczną, co mu jednak wcale ujmy nie przynosi, lecz świadczy o szczególnym samorodnym panteizmie pejzażu Chełmońskiego. Ujmą wypływa skądinąd, z braku wykończenia w świetle wody, która ma prawo przybierać odcień białawy od białawego nieba, ale nie ma prawa obywać się bez połysku.

Chyba jednak największą ozdobą obecnego Salonu jest wielka akwarela Fałata p. n. „Polowanie.“ To cała synteza tego majstra, jego niezrównanej finezyi w typach, w świetle, w nieposzlakowanej prawdzie, w której niema żadnych domieszek uczucia, ani jakiejkolwiek maniery, przesadzającej naturalny ruch lub istotny wyraz. Pod względem psychologicznej, rzec można, naukowej przedmiotowości w traktowaniu figur Fałat zajmuje u nas niewątpliwie miejsce naczelne.

„Polowanie“ jest dla swego spokoju rodzajem ilustracyi, ale w której pojedyncze postacie i głowy są wybornymi portretami, wystudyowanymi *etnograficznie*. Są one wszystkie szorstkie i twarde, jak przystoi na naganiaczów, w dodatku marznących trochę. Żaden z nich nie rozbija się, nie rozrzuca dla sztucznego zwiększenia wymowy obrazu, a jednak wzięci razem z myśliwymi, z babami, których się trochę znalazło, z sylwetami koni i sanek na planach dalszych, tworzą świetną harmonię życia i złudzenie, że sam się w tej wytrzebionej trochę kniei znajdujesz. Są to grupy tak świetnie wytłomaczone, że zgadujemy rozmowę, którą prowadzą ze sobą, z lekkich poruszeń rąk, z samej postawy. Do takich należy np. butny szlachcic, który wyniośle, jak gdyby z wielkiej łaski, rzuca odpowiedź stojącemu obok chłopu; albo ten całkiem na prawo, niezgrabny a duży, z miną zgryźliwą, istny mizantrop w sukmanie; świetny jest myśliwy, który szuka czegoś w torbie — itd. Wogóle ruchów, twarzy, póz — cała gama. Artysta zgromadził tu figur więcej, niż na innych swych obrazach i kazał im — to wypływa z samego tematu — ustawić się w szereg obławy przed widzem. Nie mógł zatem obejść się z niemi po macoszemu, nie mógł „naznaczyć“ jako martwego i zmieszanego tłumu, w którym zamiast głowy robi się kleks, lecz musiał wylegitymować wszystkich niemal, a jednak nie wpaść w jednostajność i nie powtarzać się. Wyszedł z zadania zwycięzko, ze swobodą, łatwością, świeżością roboty. Przytem tak samo jak ludzie, prawdziwy jest krajobraz, śnieg, dochodzący im powyżej kostek, miękki, puszysty; doskonałem— światło, tak charakterystyczne w porębie, i logicznemi, zgodnemi z sobą — refleksa i cienie na twarzach, odwróconych przodem. Fałat bywa impresyonistą mimowolnym, z własnego popędu i poszeptu wielkiej techniki. Kładzie on na głowach plamy jaskrawe i mnóstwo ich kombinuje na pozór twardo i przygodnie, ot dla fantazyi lub szerokiego rozmachu, a jednak zlewają się one z sobą jaknajlepiej dla dobra plastyki i dla prawdy koloru. Jest to oczywiście również talent niezależny, nietchórzliwy; postępuje sobie z tradycyą akwareli obcesowo i nawet brutalnie: gdzie potrzeba, pomaga sobie gwaszami (farbami miodowemi) i dzięki temu podnosi ogólnego tonu jędrność i siłę.

Nie czyni już tego w kilku zawieszonych po lewej stronie główkach włoskich, z których jedna zwłaszcza, starca w czapce majtka, zaleca się wyrazem i subtelnością typu, posuniętemi do stopnia najwyższego.

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Lwów, 16 października.

Hrabia Barowski i Hersz Wejzer. — Uprowadzenie prof. Źródłowskiego na Kulparków.

Kraj nasz, który był szlachecko-rolniczym, pozostał nim dotąd w pełnej mierze, mimo że stosunkowo znaczna gęstość zaludnienia, pod groźbą coraz większego wzrostu wychodźtwa, każe szukać dla nadmiaru ludności zatrudnienia w przemyśle. Potwierdzają to w zupełności najnowsze dane, zebrane przez biuro statystyczne pod przewodnictwem profesora T. Pilata. Nie rozpatrując, jakie zewnętrzne i wewnętrzne przyczyny składają się na to, że w miastach naszych rozwój zajęć produkcyjnych nie dotrzymuje dotąd kroku wzrostowi ludności i że prace około podniesienia przemysłu sprowadzają go z wielką trudnością na tę drogę, stwierdza autor fakt statystycznie, że przemysł i życie miejskie nie rozwinęły się dotąd u nas na tyle, aby silniej zaważyć na szali stosunków ekonomicznych i społecznych, że zatem rolnictwo, wraz z ubocznemi gałęziami gospodarstwa wiejskiego pozostało głównem zajęciem ludności, a pracujący na roli, głównym żywiołem w życiu Galicyi. Ta ludność rolnicza, którą w przeszłości stanowili: szlachta, gospodarująca na folwarkach i większych dobrach, już to dzierżawionych, a następnie włościanie siedzący na roli i odrabiający pańszczyznę — dotąd jeszcze składa się z dwóch głównych warstw, odpowiadających owym dawnym kategoryom, pomimo zmian, jakie sprowadziły przejścia polityczne, reformy społeczne i odmienne stosunki ekonomiczne. Dziś mamy w kraju bardzo liczną klasę rolników drobnych, obejmującą wraz z rodzinami przeszło 4 miliony głów, które stanowią prawie wyłącznie właściciele małych gospodarstw, uwolnionych przed 40 laty od powinności poddańczych; mamy również jak dawniej kategoryę posiadaczy dóbr. Ta druga obejmuje nietylko własność wielką, lecz obok posiadłości drobnych, mnożących się obecnie wskutek parcelacyi, także średnie, których właściciele, jak ongi stanowili sami politycznie uprawniony stan średni, tak dziś wobec niedostatecznego rozwoju miast zastępują stan mieszczański. Jeśli słusznie rzec można, że przyszłość ekonomiczna Galicyi zależeć będzie od rozwoju przemysłu, któremu niepomyślna konfiguracya granic politycznych i celnych największe czyni trudności, to z równą słusznością powiedzieć należy, że przyszłość Galicyi pod względem politycznym zależy od tego, jaki kierunek przybierze rozwój owych dwóch głównych kategoryj ludności rolniczej, w czyich rękach utrzyma się ziemia.

Od kilku tygodni toczy się u nas proces między ludźmi, z których jeden drugiemu zarzuca oszustwa, a każdy uważa się za ofiarę przebiegłości i zdzierstw drugiego. Procesuje się hrabia Władysław Baworowski, pan milionowy, z Herszem Weiserem, swoim dzierżawcą, czy rządcą. W jakim bowiem charakterze zawiadywał Weiser dobrami, ma właśnie dopiero rozstrzygnąć sąd przysięgłych. Hrabia twierdzi, że wskutek jego sprzeniewierzeń stracił 100,000 złr.; Weiser przeciwnie, że przez hrabiego wyzuty z całego mienia został żebrakiem. Kto ma słuszność, orzecze ława przysięgłych, wyrok jednak jest rzeczą drugorzędną. Sama sprawa dostarcza wiele charakterystycznych rysów. Że żyd jest szachrajem, o tem twierdzą wszyscy, ale że hrabia galicyjski przewyższa szachrajstwem żyda, o tem dowiedziała się publiczność w sali sądowej. Już samo „ukonstytuowanie" ławy przysięgłych odbyło się z wielkiemi trudnościami. Wielu bowiem właścicieli dóbr oświadczyło wprost, że „wobec Baworowskiego, znanego w całej Tarnopolszczyźnie z rozmaitych nadużyć, nie mogą być bezstronnymi i muszą z góry głosować przeciwko niemu, a zatem w ławie przysięgłych dla nich miejsca nie ma." Kilku właścicieli większych posiadłości nie przybyło wcale. Zaraz na wstępie jeden z przysięgłych, siwy staruszek, właściciel większej posiadłości, prosił o zwolnienie, bo jest cierpiący na serce i właśnie ma atak nerwowy. Trybunał uchwalił sprawdzić chorobę, lekarze jednak orzekli, że zdrów jak ryba. Za nim zgłosił się drugi i trzeci, lecz lekarze orzekli to samo. W procesie, który się toczy w Tarnopolu, występują postacie oryginalne, o których mieszkańcy miasta nie mają wyobrażenia; półpanki i dorobkiewicze o dziwnie chariacznych kształtach, jeden z przetrąconemi przy jakiejś okazyi nogami; żydzi o fizyognomiach, jakie trudno już spotkać nawet w Kołomyi a jakich pełno w Tarnopolszczyźnie, gdzie przez pół wieku pomiędzy obywatelstwem polskiem grasował zakon Lojoli, wyganiając zamożność z dworów na korzyść rozmaitych klerykalnych propagand zagranicznych i stworzył tym sposobem gęste pustynie: ekonomowie i karbowniey dawnej daty w kożuszkach i słomkowych kapeluszach; pokątni doradcy „prawni" z chytrym wzrokiem, cierpiący na drgawki nerwowe; wreszcie nędza chłopska w chodakach obok lokajów w tabaczkowej liberyi magnackiej. Postacie te cisną się pod przyrząd fotografa, a nieszczęśliwy trybunał zajęty jest obliczaniem „dyet" dla nich według tabeli stanów i zawodów. Niektórzy świadkowie, szczególnie żydzi bukowińscy, targują się z trybunałem o każdą „szóstkę," jak na jarmarku, a przewodniczący daje pokrzywdzonym humorystyczną radę „rekurowania do apelacyi," gdzie ma być „wielki worek" z pieniędzmi. Wśród tego zgiełku oskarżony, siwy i łysy Weiser szerokimi krokami spaceruje po sali, z zadowoleniem pokazując na tablicy swój bilans z hrabią, który według nieomylnych cyfr rachunkowości podwójnej ma być jego dłużnikiem. Świadek p. hr. Baworowski, obrócony oficynami do obrońców, którzy go na każdym kroku chwytają na kłamstwie, występuje raczej w roli oskarżonego, niż oskarżyciela. Adwokaci zwracają się z prośbą do przewodniczącego, aby mu nie pozwolił zarzucać im oszczerstw, naodwrót hrabia prosi sąd o opiekę, gdyż oskarżony i obrońcy zarzucają mu oszustwa i uważają go za człowieka niehonorowego, dybiącego jedynie na wyzyskiwanie bliźnich. W końcu przysięgli — najbiedniejsi ze wszystkich—już 5-ty tydzień oderwani od rodzin i zagonów swoich, przyobleklí się w niemą cierpliwość, mają bowiem jeszcze nadzieję pokutowania przez dwa tygodnie... Oto jedna scena tego skandalicznego procesu. Oskarżony przedstawiał hrabiemu, że wyrestaurował jego gorzelnię własnym kosztem, a wedle prawa i zwyczaju, powszechnie przyjętego, dzierżawca, odchodząc, może — co się da — zabrać z sobą. „Nic z tego nie zobaczysz— odpowiada hrabia — jak własnych uszów." Na co odzywa się żyd, do najwyższego stopnia rozjątrzony: „Alle Schacherjuden und Spitzbuben sollen zu Ihnen, Herr Graf, in die Schule gehen *). Nie mam słów do scharakteryzowania bezimiennego twojego zdzierstwa. Zaciągnąłeś mi pan stryczek na szyję, porzucę wszystko do djabła, bo nie chcę wyjść z torbami." Nagle — po tych obelgach rzuconych w twarz hrabiemu — ten odzywa się do żyda: „Pogadajmy teraz na seryo! — Przyjm pan moję propozycyę, porzuć pan tę Horoszowę, gdzie jesteś tylko złym gospodarzem, będąc stworzonym do wielkiego gospodarstwa. Oddam panu w zarząd perłę Podola, klucz Smolanecki, obejmujący 5,000 morgów na jednym obszarze. Z kasą Baworowskiego potrafisz tam dobrze gospodarować..." Wyobraźmy sobie właściciela kilku kamienic w mieście. W jednej z nich ma on lokatora, którego zaskarżył o niespłacenie czynszów i wyrzucił z gratami na ulicę, a nazajutrz zaraz po tej operacyi, zupełnie paragrafowo przeprowadzonej, woła tego samego lokatora i ni stąd ni zowąd oddaje mu zarząd bez kaucyi nietylko tej kamienicy, z której go wyrzucił, ale także i kilku innych daleko większych i piękniejszych. Podobnie postąpił Baworowski z Weiserem.

Ma on widocznie „noble Passionen..." W jak okropnym stanie zostaje u nas milionowy majątek polski, wykazała rozprawa sądowa. W Skomorochach — własność hr. Baworowskiego — woły w gorzelni stały sparszywiałe, szerząc cieknącemi ranami odór nie do wytrzymania; grzęzły w błocie, bo nie miały słomy na podściołkę, chociaż naokoło były niemłócone sterty. Drzewo do gorzelni sprowadzano po śniegu wozami z dnia na dzień, bo nie było sani, albo były połamane. I konie w stajniach plątały się niepoprzywiązywane dla braku uździenic i powrozów. Na dwa folwarki było tylko 4 wozy, ale żaden nie miał czterech kół całych. Posługiwano się tylko furami chłopskiemi. Do brahy nie było ani plew, ani sieczki. Sprowadzano z sąsiedniego folwarku istny gnój i na takiej karmie wypasano woły.

Ubiegłej soboty rozbiegła się po Lwowie wieść, która gdyby nie powaga źródła, z którego wyszła, wydawałaby się wierutną kaczką.

Opowiadano sobie ze zgrozą i oburzeniem fakt następujący. Dr. Ferdynand Źródłowski, dymisyonowany profesor tutejszej wszechnicy, został wezwany do policyi, gdzie się udał z adwokatem d-rem Jekelesem i gdzie uległ rewizyi osobistej, rzekomo z powodu szerzenia egzemplarzy jednej ze skonfiskowanych swoich broszur. Gdy rewizya ta nie odniosła żadnego skutku, oświadczono Źródłowskiemu, iż władza uważa za potrzebną jeszcze rewizyę domową i w tym celu urzędnik odwiedzi natychmiast jego mieszkanie. Wsiadłszy do dorożki pojechano, ale prosto do — Kulparkowa (zakładu dla obłąkanych), gdzie zostawiono oskarżonego „pod obserwacyą."

Obrońca dr. Jekeles był podczas tej całej procedury policyjnej obecny, mimo że komisarz pierwotnie nie chciał się na to zgodzić, uważając sprawę za „dyskretną." O zamiarze wysłania Źródłowskiego na Kulparków nie powiadomiono do ostatniej chwili nawet obrońcy, który chciał wsiąść z nim do powozu, ulegając jednak oporowi komisarza wsiadł do innego. Uprowadzenie odbyło się nawet po za plecami sądu, który na żądanie policyi polecił zbadać stan umysłowy Źródłowskiego, odroczył jednak wyznaczony termin. Opowiadają jednogłośnie, że Źródłowski rozgniewał p. namiestnika niewłaściwem zachowaniem się, głównie jednak niedelikatnem traktowaniem jego osoby w najnowszej rozprawie („Beiträge zur zeitgenössischen Geschichte," Zurich). Jeśli powody uprowadzenia na tem istotnie się kończą, jeśli żadne głębsze przyczyny, żadne względy natury publicznej nie grają tu roli, to ze stanowiska i prawnego i etycznego postępowanie to namiestnika Galicyi godzi się napiętnować jako czyn niesłychanej samowoli, jako jaskrawe nadużycie i pogwałcenie jednego z najważniejszych praw konstytucyjnych: wolności osobistej niewinnego obywatela kraju. Profesor Źródłowski znany i w naukowych kołach zagranicą, wysoko ceniony dla swej wiedzy, cierpi, co prawda, od dłuższego czasu na wielkie rozdrażnienie nerwowe. Dwukrotnie jednak przez lekarzy badany, nie został uznany ani za szkodliwego, ani za niebezpiecznego, nie ma więc potrzeby, aby go trzymano w zakładzie dla obłąkanych bez woli i wiedzy rodziny, nad nim

*) Wszyscy żydzi szachraje i łotry powinni pójść na naukę do ciebie, panie hrabio.

czuwającej. Nasuwa się przytem inna bolesna uwaga. Wypadek zaszedł przed kilku dniami, a mimo to w żadnem piśmie z wyjątkiem jednego, nie zdobyto się ani na wzmiankę o fakcie. Tylko p. H. Diamand miał odwagę wytoczyć całą sprawę na zgromadzeniu ludowem w sali ratuszowej. Na jego wniosek uchwalono odpowiednią rezolucyę do Rady państwa.

Beta.

K A R T K I.

Długotrwałość życia ludzkiego. Nowoczesna technika powołuje wciąż do życia różne ulepszenia, znacznie zmniejszające śmiertelność. Przytoczymy niektóre z nich. Drenowanie pól nietylko podnosi wydajność ziemi, lecz jednocześnie pociąga za sobą nader dodatnie skutki zdrowotne. W niektórych np. okolicach ulepszenie to nie ograniczyło się do zamienienia błot na pola urodzajne, ale zmniejszyło w wysokim stopniu ilość chorób. Aptekarze miejscowi zapewniają, iż sprzedają po zaprowadzeniu drenowania zaledwie czwartą część dawniejszej ilości chininy, lekarze zaś zaświadczają, iż niektóre choroby, np. febry, niemal zupełnie ustały. O skutkach zaopatrzenia ludności w czystą wodę już nie mówimy, tak bowiem jaskrawo rzucają się one w oczy. Natomiast zatrzymamy się nieco nad następstwami wentylacyi w mieszkaniach. W pewnym szpitalu dla dzieci umierało ich niegdyś 2,944 z ogólnej sumy 7,650; tymczasem po zaprowadzeniu wentylacyi śmiertelność spadła do 279. Podobne znaczenie posiada dom mieszkalny. Średnia długość życia wieśniaka irlandzkiego, żyjącego w jaknajgorszej chacie, wynosi lat 26¼, tymczasem angielskiego — 50—56. Wreszcie postęp wiedzy medycznej przyczynia się niemało do zmniejszenia śmiertelności. Rozpatrzmy się chociażby w skutkach szczepienia ospy. W Londynie w przeszłym wieku zmarło z tego powodu w krótkim przeciągu czasu około 200 tysięcy osób i do rzadkości należało spotkać osobę, która na twarzy nie nosiłaby śladów tej choroby. Dzisiaj w New-Yorku, posiadającym przeszło milion ludności, umiera z ospy rocznie ledwie czternaście osób!

Powyższe ulepszenia dały pochop do snucia różnych utopij. Niektórzy hygieniści podejmowali się wypracować plany idealnego miasta, *Hygici*, w którem śmiertelność spadłaby do minimum. Że coś podobnego, przy pewnych warunkach, jest rzeczą zgoła niemożliwą, o tem bynajmniej nie powątpiewamy. Natomiast z najwyższem niedowierzaniem patrzymy na rozprawy w rodzaju świeżo pomieszczonej w *Popular Science*, a szumnie zatytułowanej: „Nasi pradziadowie umierali zbyt wcześnie.“ Autorka usiłuje dowieść, że żyjemy przeciętnie dłużej, niż nasi praojcowie. Oprócz rozumowań, opartych na powyżej skreślonych, jako też innych ulepszeniach technicznych, powołuje się ona na kilka faktów bezpośrednich. Przedewszystkiem przytacza następujące ogólnie znane zdarzenie. Rząd angielski w przeszłem stuleciu pożyczył od swoich poddanych pieniądze na szczególnych warunkach. Obliczywszy średnią długość życia, zobowiązał się do uiszczania wierzycielom określonej sumy pieniężnej corocznie, dopóki ci nie zejdą ze świata. Tymczasem trzymając się dawnych wzorów zawierania pożyczki, spostrzegł on z przerażeniem w pierwszej części obecnego stulecia, że nie wychodzi na swoje. Poszukiwania dowiodły, że wierzyciele żyją teraz dłużej, niż dawniej. Podobnie żyją teraz dłużej więźniowie. Są to najgłówniejsze dowody, na których opiera się cała rozprawa. O porównaniu długości życia dawnego rzymianina z członkiem obecnej cywilizacyi lub francuzów z różnych stuleci niepodobna poważnie mówić, gdyż same dane statystyczne, służące za podstawę do wywodów, są w najwyższym stopniu niewiarogodne. Lecz czegóż dowodzi długotrwałość życia więźniów lub wierzycieli państwa? Wzięto tutaj grupy społeczne, które istotnie skorzystały z dobrodziejstw postępów techniki. Są to, że tak powiemy, dowody klasowe. Ale czyż je można zastosować do całości społeczeństwa? Wierzymy, że tegoczesny stan techniki pozwala na to, nie sądzimy jednak, aby istotnie wcielił on w życie te następstwa — dzięki istnieniu nędzy itd. Bezwarunkowo hygiena przedłużyła życie człowieka zamożnego, lecz stąd nie wynika, aby to samo uczyniła względem ubogiego. Zresztą gdyby nawet podniosła się przeciętna długość życia, należałoby przed wydawaniem wyroków zważyć sobie jedną kwestyę. Śmiertelność dzieci była niegdyś olbrzymia. Wszelkie charłaki umierały wcześnie, ci zaś, którzy ocaleli, mogli żyć dość długo. Tymczasem dzisiejsze instytucye, np. szczepienie ospy, mogą chronić dziatwę od śmierci, lecz zamiast porywać ją ze świata w pierwszym, czyni to w piątym roku życia, a inne stosunki znów skracają życie dorosłych i przeciętnie możemy otrzymać większą długotrwałość życia, niż dawniej. Słowem, średnia statystyczna jest jakby po to stworzona, aby fałszować rzeczywistość. Różnice klasowe, wpływy nędzy i bogactwa itd., wszystko to zginie w urojeniu, jakiem jest każda cyfra przeciętna. Będzie wtedy można dowieść rzeczy wprost sobie przeciwnych.

PAMIĘTNIK.

Pierścienie.

„Albo my to jacy tacy“ — powiada śpiewka. Więc jeżeli za granicą tworzą się „syndykaty,“ „trusty,“ „ringi,“ „kartele,“ słowem zmowy handlarzów dla wydobycia ze spożywców cen pożądanych, to dlaczegoż my, chociaż w mniejszej mierze, nie mielibyśmy pozwolić sobie podobnej przyjemności? Wolno przecie Ickom naśladować Rotschildów, a Kogucińskim Hahnów! Co prawda Ickom ten rodzaj „służenia szanownej publiczności“ nie zawsze się udaje. Kiedy przed paru tygodniami zrobili „trust“ kartoflowy, dostali się do kozy, a przynajmniej pod sąd. Jak wiadomo, karygodność szwindlu jest odwrotnie proporcyonalna do jego wielkości. Na tej matematyczno-społecznej zasadzie właściciele i dzierżawcy kopalń węgla osądzili, że co się nie udało marnym przekupniom, to się uda im wielkim dostawcom. Gdy tedy kolej Wiedeńska ogłosiła zwykły doroczny konkurs na zaopatrzenie jej węglem, żaden z nich nie złożył oferty. Tym sposobem ujawniła się zmowa. Kolej, potrzebująca 1,000,000 korcy zagroziła, że sprowadzi sobie węgiel ze Szląska. Rozpoczęły się układy między nią a przedstawicielami syndykatu, skutkiem których zgodzono się na podwyżkę 6 kop. od korca w porównaniu z cenami zeszłorocznemi. Do tej zmowy dopomogła i wogóle na korzyść węglarzów wypadła szczególna okoliczność. Według *Gazety warszawskiej*, statki angielskie, które przywoziły do portów ruskich węgiel jako balast, a zabierały zboże, teraz przy zmniejszonych transportach zboża mniej przywożą węgla, a skutkiem tego zapotrzebowanie naszego węgla do Cesarstwa znacznie się zwiększyło; nadto kopalnie w Miłonicach i Czeladzi są zalane, co uszczupla sumę węgla wydobywanego w basenie sosnowickim. Wszystko to ośmieliło do hardego oporu, który kolej Wiedeńska opłaciła znaczną podwyżką ceny, a który drobnym spożywcom, niemogącym jak ona ani grozić zwróceniem się gdzieindziej, ani wywierać silnego nacisku, przetrzebi kieszeni.

Obok węglowego stanął „kartel“ naftowy. *Gazeta losowań* donosi, że hurtownicy, handlujący tym produktem, zawarli między sobą układ, wyłączający wszelką między nimi konkurencyę. Wpływ tego ślubu już się odbił na wyższych cenach. Jeżeli tedy tak dalej pójdzie, wkrótce ujrzymy się otoczeni „pierścieniami“ zmów i będziemy musieli płacić za każdy artykuł codziennej potrzeby tyle, ile „syndykat“ wyznaczy. Bo i dlaczegożby za węglarzami i nafciarzami nie mieli pójść rzeźnicy, fabrykanci perkalu, skór itd.? Dlaczegożby cały handel, oparty na współzawodnictwie, w którem sprzedający licytowali się *in minus* przed nabywcą, nie miał zmienić podstawy i upewnić swe zyski zmową? Wszakże cywilizujemy się, a jeśli zagranica, która nam świeci przykładem, ucieka się do tych sposobów, i my musimy iść za postępem. Więc... sprowadzajmy do absurdu obecny ustrój ekonomiczny i pomnażajmy dowody jego moralnej wartości. *W.*

Nieobecni.

Jesteśmy o jedną zagadkę ubożsi i o jedno rozwiązanie bogatsi. *Kuryer warszawski* widząc, że pomimo jego nawoływań loże w teatrze bywają niezajęte, postanowił opukać i osłuchać odpowiednie subjekty dla zbadania przyczyn „choroby.“ Wykrył dwie: jedną jest to, że panowie jadają obiady między 6-ą a 7-ą, do teatru więc zdążyć nie mogą, drugą to, że wnętrza nowych lóż są białe, a na takiem tle twarze kobiet odbijają się niekorzystnie. Zaiste wymagać od panów, ażeby poświęcali obiad dla teatru, a od pań, żeby traciły urodę na złym podkładzie — niepodobna. Byłaby to ofiara zbyt wielka, do której miałyby prawo jedynie złotopióre ptaki przylotne Melpomeny zagranicznej. To też nie pojmujemy natrętnych i niesłuchanych kazań, jakie *Kuryer warsz.* prawi pod drzwiami naszej arystokracyi, które ją mniej obchodzą, niż dąsy rozgniewanej papugi. Już jeżeli o czem prasa warszawska miała sposobność przekonać się dowodnie, to chyba o tem, że arystokracya ze swemi przyległościami nie zwraca na jej głosy żadnej uwagi. Po co więc ta kompromitacya? A przytem bądźmy sprawiedliwsi. Ile razy pisma arystokratyczne dyktują nam obowiązki, odpowiadamy im nieraz serdecznym śmiechem; nie żądajmy więc nawzajem, ażeby nosy wysoko zadarte „u góry,“ opadły i wydłużyły się pod wpływem krzyków „z dołu.“ *O.*

Reklama.

Jeden z dzienników francuskich po rozmowie z pewnym nakładcą wydał krzyk, mający tłomaczyć zastój w handlu księgarskim: reklama zabiła literaturę! Krzyk ten powtórzono w prasie warszawskiej z lekkiem napomknieniem i westchnieniem nad podobizną stosunków naszych. Zaznaczamy ów fakt dla połączenia go z pytaniem: kto u nas ma prawo wzdychać? Czy ci, co zgrabiając z całego świata wszelaki perz i zeskrobując błoto skandalu, uważają się za pokwitowanych z obowiązku wobec własnej literatury, gdy wspomną tytuł nowego w niej dzieła? Czy ci, którzy przed przyjaciołmi biegną niezmordowani, bijąc w bębny i dmąc w trąby sztucznego rozgłosu? Czy ci, którzy żyją, słyną i rosną dzięki drożdżom reklamy? Zaiste nie dotykajmy tego tematu, jeśli go nawet za granicą podniosą. Nasza bowiem literatura bieżąca jest wielkim łanem plantacyj reklamowych, śród ktorych ledwie gdzieniegdzie wyrasta zagłuszone chwastem źdźbło krytyki. Pod tym względem my moglibyśmy dostarczyć szczególnie wymownych dowodów. O naszych książkach oryginalnych i tłomaczonych ¾ prasy warszawskiej nie ma nic do powiedzenia, chociaż każdą posyłamy redakcyom. Jedna z gazet otrzymała w swoim czasie od nas egzemplarz dzieła kosztownego, wydanego z wielkim nakładem pracy i starań. Jak to jej się często zdarza, nie pomieściła o tem dziele nawet bibliograficznej wzmianki. Nie dość tego. Po kilku miesiącach współpracownik tej gazety pisze do nas list z prośbą o egzemplarz „dla napisania recenzyi.“ Posyłamy drugi! I cóż? Upłynęło lat kilka i nie doczekaliśmy się nietylko recenzyi, ale nawet notatki o wyjściu książki. Lepiej się chyba nie dzieje w najbardziej klasycznym kraju reklamy. Więc szanowni panowie, albo nie wzdychajmy

nad nią, albo zapobiegnijmy, ażeby ona nie mordowała literatury. Ten bowiem faryzeizm ma tak krótkie skrzydła, że nie odlatuje od tych, którzy go ku innym puszczają. Lepiej już brojąc siedzieć cicho i nie wywoływać publicznej spowiedzi, w której sumienie kazałoby się przyznać do ciężkich grzechów, a wstyd zmusza je zataić. Uprawiajmy sobie reklamę, skoro ona nam dogadza, nie wykłuwając nią wszakże oczu nikomu. *O.*

Odpowiedź.

Ludzie, pamiętni tych czasów, kiedy w Warszawie warczały ciągłym ruchem maszyny drukarskie, a niedość wtajemniczeni w nastrój chwili obecnej, zasypują nas propozycyami wydania nowych dzieł, przeważnie tłomaczonych. Niepodobna każdemu odpisywać z osobna, powtarzając te same racye odmowy; więc odpowiadamy ogółem i publicznie, ażeby powstrzymać marnowanie pracy. Otóż zarówno my, jak wszyscy nakładcy, ograniczyliśmy wydawanie nowych książek, gdyż po za bardzo szczupłem kołem nikt ich kupować nie chce, a na ofiary, pokrywane jedynie rozsprzedażą 100—200 egzemplarzy, nie mamy środków. O ile dawniej niezmiernie rzadki był wypadek, ażeby jakaś książka nie zwróciła nakładcy kosztów, o tyle dziś również rzadki jest przeciwny, ażeby nie naraziła go na straty. Wszystkie morały, wywody i napomnienia, jakie w tej sprawie można było wypowiedzieć, już prasa wypowiedziała — dodajmy — bez żadnego skutku. Szkoda więc daremnie tracić słów na dalsze deklamacye i trzeba pogodzić się z faktem, który prawdopodobnie długo jeszcze nie ustąpi z życia naszego. Nie widać bowiem ani jednego znaku, ani jednego objawu, któryby pozwolił spodziewać się wkrótce pożądanego zwrotu. Śród ogólnej obojętności przechowa się szczupły zastęp ludzi, którzy nie stłumią w sobie i nie wyrzekną się zadawalania swych pragnień umysłowych czemś lepszem, niż spożywaną codziennie wiązką wiadomości zagranicznych i miejscowych; ogół jednak coraz bardziej stronić będzie od książki. Ona bowiem nie wrosła dość głęboko w potrzeby jego życia, nie stała się dlań nawet tem, czem widowisko teatralne lub nawet biesiada na Saskiej Kępie. Kupował ją i czytał, gdy go do niej ciągnęła moda, wreszcie gdy miał nieco zbywających pieniędzy; dziś, skoro moda minęła, a bieda przyszła, unika drukowanego papieru i nie czuje w tem żadnego braku. Według naszych spostrzeżeń i przewidywań, ruch wydawniczy jeszcze znacznie się zmniejszy i zamknie w książkach pożytkowych, praktycznych. Tak zwane zbytkowe, które nie uczą, jak przyrządzać pieczeń lub robić koszyki, lecz mówią o wiedzy, sztuce, zagadnieniach społecznych i tym podobnych rzeczach, bez których tak dobrze najszanowniejszy człowiek, jak najładniejszy koń obejść się może, ustąpią z rynku. Kto nie wierzy, szczęśliwy, bo ma jeszcze złudzenia.

Uwaga.

P. Bolesław Prus, który niedawno tak zaciętym i brutalnym pozwem chciał wyprocesować ze swego szczodrego krytyka dodanie mu do wieńca liści wawrzynowych, widzi w operze Mascagnego tylko „cztery rzeczy oryginalne“ (do których zalicza śpiew za kurtyną, antrakt bez spuszczenia kurtyny, trzaskanie batem i chór wieśniaków pijących wino), a „jedną rzecz potężną — reklamę.“ „Nie jest to żaden wieloryb — pisze szanowny znawca — ale młody karp z garniturem franków, lirów, guldenów i marek. Inaczej niepodobna sobie wytłomaczyć tego *sztucznego szału*, jaki prasa europejska wytworzyła.“ Że p. Prus najchętniej i najbardziej stanowczo wyrokuje o tem, co najmniej rozumie — powszechnie wiadomo. Ale nie wiadomo, ile też „kubłów pomyj,“ „arcydzieł oszczerstwa“ i tym podobnych delikatnych wyrażeń musiałby zużyć Mascagni, gdyby przeczytawszy jego krytykę, chciał mu odpowiedzieć jego delikatną metodą i słownikiem. Byłoby to obliczenie ciekawsze, niż ścisły rachunek, ile jest w operze „szczegółów godnych podkreślenia“ lub ile razy (akurat dziesięć) jej intermezzo jest słabsze od symfonii Noskowskiego. Bądź co bądź, p. Prus winien by się pozbyć obawy, która go widocznie dręczy, że za wiele laurów rozdajemy innym i że za mało zostanie ich dla niego. *Muzyk.*

Samopomoc najmicka.

Bieg naszego życia wysunął niedawno ze swoich fal dwa znamienne objawy samodzielności w tej klasie ludzi, którzy dotychczas uważani byli zwykle za bezwładne stopnie schodów kamienicznych lub skromne głazy bruku ulicznego... Mamy na myśli samopomoc klasową, do której uciekli się wpierw czeladnicy piwowarscy, po nich zaś — czeladź szewcka. Pierwsi z nich na walnem zebraniu swojem w Magistracie, zwołanem dla obioru starszego, wystąpili przy sposobności z szeregiem żądań: większego uniezależnienia swojej kasy, skrócenia dnia roboczego (który dotąd wynosił 16 i 18 godz.), podwyższenia płacy, wprowadzenia jednego w tygodniu dnia wypoczynkowego i dawania innego zarobku najemnikom w czasie kilkomiesięcznej przerwy dorocznej w produkcyi piwowarskiej. Zważywszy, jak dalece w tej gałęzi przemysłu naszego były dotychczas zaniedbane stosunki pomiędzy pracobiercami, a pracodawcami (najemnikami), jak ona, najmniej cierpiąc sama na ogólnym zastoju w kraju, była daleką od wszelkiej reglamentacyi, jak z drugiej strony jest niekorzystną dla zdrowia pracujących i przeciążała ich dotąd zajęciem, nadmiernie trwającem, dziwić się nie będziemy żądaniom czeladzi, lecz raczej uznamy je za zupełnie słuszne i noszące postać całkiem prawowitą. Ze wszystkich tych żądań na posiedzeniu w Ratuszu zadość uczyniono tylko jednemu — co do kasy; inne poddane zostały namysłowi przedsiębiorców. Dopiero niedawno na prywatnem zebraniu u jednego z nich (u p. Machlejda), na ponowne piśmienne domaganie się czeladzi i po obustronnych, uporczywych rozprawach, piwowarzy tutejsi postanowili: podnieść wszystkim bez wyjątku fachowym najemnikom płacę dotychczasową o rs. 2 tygodniowo; skrócić dzień roboczy o 2 godziny (to jest z 16-tu do 14-tu i z 18-tu do 16-tu); zwalniać każdego z pracujących od zajęć na jeden dzień w tygodniu i w czasie kilkomiesięcznej przerwy dorocznej w produkcyi wynagradzać najemników bez pracy — innem zajęciem w browarach z płacą o $^1/_4$ niższą od pobieranej. Uchwała powyższa nie jest tylko papierową, owszem oblekła się już w szatę czynu: właściciele browarów wprowadzili już ją w życie. Jakkolwiek ona wbrew wyrażonym żądaniom — nie podnosi zarobku o 3 rs., jak wymagano, skraca zaś dzień roboczy o 2 godziny mniej, niżeli żądano (12 g.) wszakże w naszych stosunkach, jest faktem niebywałym i wielkiej doniosłości społecznej Nietylko bowiem przysparza najemnikowi fachowomu 8 rs. miesięcznie, właśnie tyle, ile niejednemu z nich potrzeba na komorne, ale sama przez się, a może w związku z warunkami, które jej dały życie, była pożytecznym bodźcem do podwyższenia zarobków o 50 kop. tygodniowo nawet niefachowym wyrobnikom, w browarach zatrudnionym. Co więcej — odegrała ona w piwowarstwie taką samą rolę, jaką w innych gałęziach przemysłu fabrycznego (np. tkactwie) spełnia zwykle przepis prawny, ograniczający użycie siły roboczej kobiet i dzieci, kiedy skraca długość dnia roboczego; zmniejszonie bowiem obecne liczby godzin zajęcia oraz dzień wypoczynkowy, z natury rzeczy, dostaje się w udziale zarówno fachowemu czeladnikowi, jak i niewykwalifikowanemu wyrobnikowi piwowarskiemu.

Nieco skromniejszy, chociaż tak samo godny uwagi, jest drugi objaw samopomocy najemniczej, na którą zdobyła się czeladź szewcka. Wystąpiła ona — jak donosi *Kuryer warszawski* — z podaniem do pp. starszych o przywrócenie gospody czeladniczej oraz lepsze zaopiekowanie się chorymi i kalekami. Prośbę tę w zasadzie przychylnie przyjęto, ale jej dotąd nie spełniono. Wobec tej opieszałości czeladnicy proszą pp. majstrów, składających radę gospodarczą, o jaknajrychlejsze wprowadzenie żądanych ulepszeń, nadto zaś domagają się: urządzenia stałej pomocy lekarskiej, bezpłatnych lekarstw i zaprenumerowania pism fachowych. Żądania te, póki jeszcze są tak niewinne, godne są jaknajprędszego zadośćuczynienia.

My byśmy ze swojej strony dopełnili te wymagania innemi, a raczej wnioskiem, który podsuwa zresztą samo położenie ekonomiczne kraju w chwili obecnej. Wiele gałęzi przemysłu naszego nie przestaje trapić zmora przewlekłego zastoju, zaostrzonego w skutkach drożyzną tegoroczną. Cierpi na tem kapitał, ale więcej jeszcze jego żywa podpora — przedstawiciele pracy, przez to, że zwężenie skali produkcyi czyni ich zbytecznymi, tj., pozbawia częstokroć zajęcia. Czeladnicy zaś różnych zawodów mają swoje kasy pomocy, z których czerpać by mogli zasiłek nietylko w razie choroby i tym podobnych wypadków, ale nawet w ciężkich chwilach, gdy długo zostają bez zajęcia. Na to jednak, o ile się nie mylimy, ustawa tej kasy im nie pozwala. Czyby więc nie czas było, komu na tem zależy, zbadać ustawę i, jeżeli warunki prawne nie stoją na zawadzie — postarać się o niezbędną pod tym względem w niej zmianę? *P.*

Nowa wyprawa.

P. Hempel, w dalszym ciągu rozświetla w *Kur. warsz.* położenie emigrantów polskich w Brazylii. W wiadomościach, udzielanych przez niego niema wprawdzie ani śladu wrażeń estetycznych, które stanowiły ongi jedyną wartość doniesień p. Dygasińskiego, ale za to daleko więcej jest praktycznych wskazówek do użytku filantropii. Jakkolwiek i wycieczka p. H. w gruncie rzeczy tak samo, jak odbyta już podróż za ocean p. Chełmickiego — jest tylko wyprawą po... chłopskie runo, ale nie uderza natarczywie swoim celem wyszukania „kuroplochu“ i posiada więcej pozorów czystego humanizmu. Przegląda on szczególnie w długiej liście wychodźców, z której ich krewni, przyjaciele lub znajomi dowiedzieć się mogą nietylko o nazwiskach, miejscu urodzenia, ale także o losie każdego, o zdrowiu lub zgonie — o zamiarze powrotu do kraju. P. Hempel dotychczas ograniczył się do zbadania położenia tych biedaków w samem tylko Rio de Janeiro, gdzie zwiedził miejscowości, w których *Companía Saneamento* buduje całe nowe ulice, burząc stare domy na Rua Invalidos, Jordim Botanico, Sampaio, Villa Isabel, Vossuvas itd. Prawie każdy z naszych wychodźców w pierwszych dniach swego pobytu na ziemi brazylijskiej, chociaż na krótko brał udział w tych robotach. W styczniu, lutym i marcu pracowało ich dziennie przeciecięciowo 600—700, dziś pracuje około 400. „Już w jesieni roku zeszłego — powiada p. H.— podczas najsilniejszej gorączki wychodźctwa, bardzo wielu, szczególnie rzemieślników, pozostawało od razu w Rio; oprócz tego z prowincyi zaczęło napływać dużo ludzi, nie mających żadnego fachu w ręku, najczęściej włościan. Całe setki tych zgłodniałych zginęłyby marnie, gdyby nie pomoc, jaką im okazali dawniej tu zamieszkali wychodźcy, głównie inż. Kwakowski itd.“ Przez Sancamento przeszło bardzo wielu rzemieślników różnych fachów: kra-

wcy, rymarze, szewcy itp.—pracowali, jako prości wyrobnicy przy mularzu. Miało to jednak tę dla nich wygodę, że pozwalało rozejrzeć się w położeniu i upatrzeć sobie odpowiedniejsze zajęcie. Zarabiali oni przy robotach budowlanych tyle, co czarni (1,800—2,200 milr.), ale mieli przynajmniej „grunt pod nogami.“ Na przedmieściach Rio, w Sampaio i Villa Isabel, p. H. nie zastał już prawie żadnego lepszego rzemieślnika: pozostali tam tylko niefachowi lub rzemieślnicy świeżo przybyli. Położenie ich ma być znośne, ale powiadają: „żeby nie klimat, toby i niezgorzej było.“ Zarabiają 2,200 milrejsów, płacą zaś dziennie (?) za miejsce w baraku 200 (!); około milrejsa kosztuje ich życie. „Pozostaje 1 mil. na inne potrzeby lub na zaoszczędzenie... Kto nie ma rodziny i nie choruje, zaledwie w przeciągu trzech miesięcy może zebrać 100 mil. na powrót.“ O powrocie, podobno, wszyscy marzą, ale otaczają go taką samą legendą, jaka ich zwabiła do Brazylii. Z liczby 147 osób, podanych w regestrze p. H., względnem zdrowiem cieszy się teraz 104, zmarło 25 (czyli 17%), zachorowało — 18 (czyli 12,2%) — pomimo zimy, będącej tam najzdrowszą porą roku. „W ciągu 2 lat wszyscyby wymarli doszczętnie, gdyby nie ratowali się ucieczką“ — wnioskuje stanowczo p. H. Gdzie jednak mają oni uciekać, żeby z deszczu nie wpadli pod rynnę? *Z. A.*

Hymn barbarzyńcy.

Jeden z misyonarzy wschodnio-afrykańskich ze stacyi Uszirombo, leżącej w połowie drogi pomiędzy Wiktorya-Nyanza a Tanganyika w Unganyembe, opisując przyjęcie, jakiego on i jego towarzysze doznali u plemienia Msalalów, podsłuchał słowa pieśni gęślarza barbarzyńskiego i przekonał się, że ona była hymnem pochwalnym dla człowieka białego, cywilizatora wnętrzów Afryki. Oto są niektóre zwrotki tego hymnu tak mile łechcącego ucho mieszczańskie:

Biały człowieku, silny jesteś, jesteś wielki!
Na widok twój drżą Wangoni i pierzchają.
Ty jadasz mięso i ryż, ja zaś jagły i szarańczę,
Ty masz żołądek pełny, mój zaś pusty;
Daj mi co do zjedzenia; daj mi co, abym się nasycił!
Za zbliżeniem twojem chroni się Ruga-Ruga (rozbójnik) w gęstwinę,
Kryje się w jamie swojej, jak owad w trawie,
Bo ty masz proch i strzelby twoje huczą.
Ja mam tylko strzały i marną włócznię.
Ty, biały, daj mi, daj mi dużo prochu,
Daj mi piękną broń!
Ty masz wiele tkanin: pełne są ich twoje skrzynie.
Kobiety kraju twojego przędą je i tu przysyłają:
Jedne są czerwone, jak krew wołu;
Inne zielone, jak pióra papugi,
Lub cętkowane, jak skóra pantery.
Trzy i cztery tkaniny nosisz na ciele swojem,
A ja posiadam tylko niewielką szmatkę.
Biały człowieku, daj mi, daj *Upandę* (łokieć) jedną
Masz w kufrze swoim długą miedzianą rurę (teleskop)
Przybliża ona do nas jeziora, lasy, wioski,
Widać przez nią ludzi sąsiednich plemion:
Chodzą, biegają, tańczą.
Masz skrzynkę, która sama mówi śpiewa.
Jesteś potężny, boś ukrył w niej *Mzimu* (ducha)
Daj mi te piękne rzeczy,
Abym je mógł szczepowi swojemu pokazać,
Aby powiedzieli, mądrymi są biali!
Powiedz braciom swoim w *Ulaya* (Europa),
Niech nam tego więcej przyśle.

Istotnie, łza rozrzewnienia winna się zakręcić w oku „potężnego“ i „wielkiego“ mieszczanina z Europy wobec tego uznania jego zasług na polu kultury, które go spotyka ze strony jedynego z ludów czarnych, zwykle tak skłonnych do rozpruwania brzuchów Stanleyom, Zelewskym i Wissmanom! Znać plemionko to składa się z najpojętniejszych synów czarnej Afryki i najbardziej dojrzałych do przyjęcia cywilizacyi naszej. Będzie ono bodaj najżywszym łącznikiem między resztą współplemieńców a białym człowiekiem i stanie się najpewniejszym rozsadnikiem nabytków jego doświadczenia wielowiekowego: wódki, syfilisu, cnót wszelkich i, co najważniejsza — towarów. Ta namiętna zwrotka „daj mi!“ barbarzyńcy niesłusznie wykrzywia usta *Kuryera warszawskiego* przekąsem oszczędnego mieszczanina. Kto tak gorąco chwalił uczestnictwo jednego z najmniejszych zakątków *Ulai* we flircie afrykańskim — w wycieczkach „rynko-znawczych,“ ten winien uroczyście wsłuchać się w hymn czarnego człowieka, bo jest on radosnem echem na mieszczańskie „hop hop!“ — jest okrzykiem „jestem!“ rynku afrykańskiego. Misyonarze i Zelewscy, chociażby w grobie, z mózgiem i jelitami dawno pożartemi przez ludzi czarnego lądu — słyszą to wezwanie i doniosą tę nowinę swoim braciom w *Ulaya*. *Ulaya* zaś w te pędy żwawo wyśle okręty obciążone towarem swoim ku brzegom Afryki i zapuści w jej głębie kilkaset par szyn lśniących, a potem do rydwanu postępu swojego zaprzęgnie i ludność tubylczą. Z biegiem czasu inny jakiś wieszcz niedobitków czarnych uderzy już w strunę żalu i zanuci nie hymn pochwały, lecz pieśń jeremiaszową: „Wszystko nam dałeś, potężny i piękny biały człowieku! Patrz, tysiące moich współplemieńców usiały kośćmi swojemi ziemię naszą. Nasz *Mzimu* z rasowego, stał się klasowym lub wzbogacił się w twoich rękach służalstwem i stokiem innych cnót twoich braci. Dźwigamy na sobie wszystkie następstwa twojej gospodarki towarowej — tańczymy zapamiętale wraz z tobą w twoim deptaku i mrzemy marnie z „głodu, wódki i syfilisu!“ *Z. A. P.*

KRONIKA.

Sprawy społeczne. W Banku państwa podzielono fundusz na tantyemy za r. 1890 dla urzędników kantorów i oddziałów. Na kantor warszawski przypada ogó[illegible] 1,400 rs. mniej, niż w roku poprzednim.

— Postanowiono opodatkować i urzędników w instytucyach rządowych, społecznych, korporacyjnych, na kolejach i we wszelkich przedsiębiorstwach akcyjnych. Opodatkowaniu podlegać będzie cała pensya (w gotówce i w naturze), jeżeli wynosi najmniej 2,000 rs. rocznie. Podatek rosnąć będzie stopniowo od 3 do 6%. Nowość ta wprowadzona będzie tylko na rok jeden 1892, ze względu na trudne położenie skarbu wobec [illegible]

— Na mocy przepisów o najmie robotników we wszystkich miastach Królestwa Polskiego, gdzie istnieją zarządy policmajstrów, będzie wprowadzona kontrola sług i robotników.

— Baron Hirsch oświadczył, iż każda rodzina żydowska, emigrująca do Argentyny, otrzymuje 150 akrów ziemi i utrzymanie na rok jeden. W drugim roku rodzina musi wyżywić się sama; od trzeciego będzie płaciła niski czynsz dzierżawny. W nabywaniu ziemi na własność koloniści mają ułatwienia.

Ulgi. Kilku właścicieli zakładów handlowych i przemysłowych w Warszawie dobrowolnie bez żadnego nacisku — pisze *Kur. warsz.* — postanowiło podnieść o 10—15% fundusz, udzielany pracownikom na żyw[illegible]

— Zarząd zakładów bawełnianych Poznańskiego w Łodzi zakupił około 6,000 korcy kartofli na sprzedaż dla swych robotników po cenie kosztu.

— Tamże zarząd zakładów Scheiblera przeznaczył 50,000 rs. na zakupienie produktów, w celu taniej rozsprzedaży śród robotników.

— Kilku właścicieli fabryk w Warszawie przy ul. Czerniakowskiej i Przemysłowej zakupiło kartofli i kapusty za 5,000 rs. dla udzielania robotnikom po cenach kosztu.

— Zarząd tanich kuchni w Warszawie będzie oprócz obiadów wydawać śniadania z zupy i chleba po 3 kop. za porcyę dla ludności ubogiej.

Szkoły. Na IX zjeździe przyrodników poruszona będzie sprawa rozszerzenia wykładu nauk przyrodniczych w szkołach średnich.

— Ministeryum dóbr państwa czyni starania o uzyskanie kredytu na urządzenie stałych kursów rolnictwa dla nauczycieli szkół elementarnych wiejskich.

— Zaprojektowano stałe posady inspektorów, których obowiązkiem będzie kontrolowanie zakładów fachowych dla kobiet.

— Ministeryum oświaty przystąpi wkrótce do zgromadzenia danych o składzie personelu nauczycielskiego w szkołach prywatnych i początkowych. Pomiędzy innemi będzie zwrócona uwaga na stopnie wykształcenia nauczycieli.

— W Łodzi fabrykanci miejscowi złożyli 30,000 rs. na założenie internatu przy szkole średnio-rzemieśl[illegible]

— We Lwowie będzie otwarty instytut chemiczny.

— Nauczyciele szkół ludowych we Lwowie wnieśli do rady miejskiej podanie o podwyższenie płacy.

Sprawy kolejowe. Zarząd kolei Dąbrowskiej wyznaczył rs. 60,000 na budowę w Radomiu nowego budynku administracyjnego dla biur i urządzenia mieszkań służbowych.

— Delegaci wybrani z grona urzędników kolei Nadwiślańskiej, po naradzie, odbytej przed kilku dniami, złożyli na ręce dyrektora kolei podania rady zarządzającej o przyśpieszenie w ministeryum likwidacyi kasy obecnej i utworzenie natomiast zaliczkowo-wkładowej.

— Dowiadujemy się ze źródła prywatnego, iż urzędnicy kolei tutejszych podali prośbę do wyższej władzy o bezpłatny przewóz produktów żywności (z powodu drożyzny) na ich wyłączne [illegible].

— Minister komunikacyi wydał rozporządzenie, aby w razie każdego opóźnienia pociągów pasażerskich, przeprowadzone było przez policyę kolejową ścisłe śledztwo, w celu wyjaśnienia przyczyn.

— Do udziału w budowie kolei Transsyberyjskiej [illegible] inżenierów amerykańskich, którzy budowali kolej w Kanadzie.

— W r. p. na kolei Petersbursko-Warszawskiej postanowiono nadać pociągom kuryerskim szybkość 60 wiorst na godzinę.

— Na kolejach rządowych wprowadzone będzie sposobem próby nowe kontrolowanie biletów. Podróżni obowiązani będą wrzucać je do skrzynki umieszczonej w wagonie, zostawiając sobie tylko kupony na wypadek nieporozumienia. Będzie to wielka wygoda dla pasażerów, szczególnie w nocy.

— P. Bloch uzyskał koncesyę na budowę kolei obwodowej w Łodzi, tudzież linij dojazdowych do Zgierza, Pabjanic i większych fabryk łódzkich. Budowa ma się rozpocząć w roku przyszłym.

— *Now. Wr.* pisze, iż projekt podwyższenia płacy urzędników kolejowych w Królestwie Polskiem ze względu na drożyznę odrzucono w Petersburgu, jako środek niepotrzebnie obciążający budżet kolei przez rząd gwarantowanych i mogący się odbić na ogóle ludności, opłacającej podatek.

— Pociągi pocztowe kolei Warszawsko-Petersburskiej, kursujące obecnie z szybkością 47—50 wiorst na godzinę, od 13 listopada między Warszawą i Wilnem będą biegły z szybkością 55 wiorst, a pomiędzy Wierzbołowem i Petersburgiem — 75.

— W Berlinie odbyły się w tych dniach narady taryfowe przedstawicieli kolei wschodnio-pruskich i innych w związku z niemi zostających. Kolej Wiedeńska wysłała delegata.

Przemysł i handel. Ministeryum spraw wewnętrznych zaleciło usuwać handlarzy wędrownych t. zw. „węgrów“ z gub. południowo-zachodnich, o ile nie udowodnią, że zamieszkiwali przynajmniej lat pięć w Rosyi. Są to przeważnie poddani austryaccy.

— W Aleksandrowie nagromadziła się znaczna ilość wagonów naładowanych wytłokami i makuchami, których przewóz za granicę wzbroniono. Ze względu, iż niska cena towaru nie opłaciłaby kosztów powrotnego transportu, zrzeczono się odbioru ładunków.

— Na drożyznę produktów spożywczych, głównie kartofli, kapusty i innych warzyw tudzież nabiału, dostarczanych na rynki warszawskie, w znacznej części wpływają przekupnie. Oczekiwali oni dawniej na wozy włościańskie przy rogatkach. Od czasu jednak wydania przepisów policyjnych, wzbraniając[illegible]im tego sposobu, znaleźli oni inną drogę. Sprawdzono — pisze *Kur. warsz.* — że we wtorki, a szczególnie w piątki, jeszcze o świcie w promieniu 4 do 5 wiorst za miastem, a nawet w dalszych okolicach, kręcą się przekupnie, zakupują towar, który dostawcy przywożą do miasta, jako już cudzy. Przekupnie zarabiają na tem od 25 do 40% i solidarnie działając, nie dopuszczają zniżki cen, nawet przy najobfitszym dowozie. Nadal postanowiono temu zapobiedz. Między innymi środkami polecono

strażnikom ziemskim przy pomocy sołtysów pilnować w dnie targowe, aby wszelkie tranzakcye na gościńcach i karczmach przydrożnych nie były zawierane, a przekupnie za wykroczenie przeciw temu rozporządzeniu będą zatrzymywani dla pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej.

— Przemysł przędzalny w Alzacyi przechodzi niebezpieczne przesilenie z powodu załamowania wywozu do Ameryki.

— W alzackich okręgach Hagenau, Zabern Strasburg i Molsheim, odkryto obfite źródło nafty.

— Inspektor rolnictwa przy ministeryum dóbr państwa W. W. Czerniajew, zwiedziwszy fabryki machin i narzędzi rolniczych w Królestwie Polskiem, zawyrokował, iż od lat 10-ciu nie uczyniły żadnego postępu.

— Syndykat londyński nabył w Saksonii, na Szlązku pruskim i w Brandeburgii trzydzieści hut szklanych i tworzy z nich jedno wielkie towarzystwo akcyjne.

Zdrowie publiczne. W Zwierzyńcu pod Wilnem dwaj przedsiębiorcy urządzą zakład hydropatyczny i klimatyczny pod opieką d-ra Mierzejewskiego z Petersburga.

— Ministeryum spraw wewnętrznych postanowiło rozpocząć od roku 1892 reformę urządzeń lekarskich w gub.: wileńskiej, grodzieńskiej, kowieńskiej, mińskiej, kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej.

— Otwarta w r. z. przez ginekologów warszawskich lecznica dla kobiet otrzyma gmach własny w roku przyszłym.

Wiadomości administracyjne. *Mosk. Wied.* otrzymują z Petersburga wiadomość o istniejącym jakoby zamiarze zniesienia w Królestwie Polskiem używanych dotychczas miar długości. Mają być skasowane również miary powierzchni: włóka, mórg i pręt kwadratowy, używane w dokumentach rządowych na równi z dziesiatyną.

— Księgi metryczne w gub. nadbałtyckich prowadzone będą wyłącznie w języku urzędowym. Wszelkie kopie z metryk, wniesionych do ksiąg przed wydaniem tego rozporządzenia, powinny być zaopatrzone w przekład ruski.

— Ministeryum skarbu postanowiło zwiększyć znacznie odpowiedzialność za wykroczenia przeciw ustawom akcyzowym.

— Senat wkrótce rozstrzygnie, czy osady w Królestwie Polskiem mają być liczone do kategoryi miasteczek.

Wystawy. Dzienniki ruskie donoszą, iż wystawę środkowo-azyatycką przedłużono do końca roku bieżącego.

— W tych dniach odbyła się w Warszawie wystawa sezonowa roślin i kwiatów.

— W Amsterdamie od początku października trwa międzynarodowa wystawa fotograficzna.

— W Lublinie odbędzie się wystawa słowiańska r. 1895.

— W Palermo otwarta będzie wystawa narodowa 6 listopada.

Wypadki. Z Madrytu donoszą, iż w Andaluzyi i Aragonii zbiory przepadły; w Grenadzie bydło potonęło. Powódź trwa dalej i zabiera życie ludzkie i mienie. Nędza niebywała panuje.

— Z Bukaresztu telegrafują, iż w okolicy Reni wysadzono bombami pociąg. Dziesięciu żołnierzy śmierć poniosło, sześciu ranionych.

— We Włoszech Pad i Mincio wylały.

— W departamentach: Aube i Wyższych Pirenejów wylewy poczyniły wielkie spustoszenia.

Zmarli. Karol Melcer w Turku, skrzypek i kompozytor.

— Józefina Rapacka w Warszawie, żona artysty dramatycznego, niegdyś sama artystka.

— Kornelia z Kruszewskich Drzewiecka, autorka dawniejsza, pisząca pod pseudonimem Emilii Borsza.

— Dr. Adryan Baraniecki w Krakowie; twórca wyższych kursów dla kobiet, założyciel Muzeum przemysłowego.

Każdy prenumerator ma prawo wydrukować darmo co kwartał ogłoszenie objętości dziesięciu wierszy petitowych.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 18 Октября 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. Al. A. Świętochowski.